Rok I. Nr. 1.



Styczeń 1936 r.

WYTWORNY STYL

Rok I. Nr. 1.

KRAKÓW, W STYCZNIU 1936 R.



Od Wydawnictwa!

Oddając pierwszy numer naszego wydawnictwa do rąk publiczności, chcielibyśmy podzielić się naszemi zamiarami i intencjami, wyjaśnić nasze cele i zamiary. Zauważyliśmy, że w całem piśmiennictwie polskiem, daje się odczuć brak jednego rodzaju czasopiśmiennictwa, mianowicie dobrze wydanego i zaspakającego potrzeby wszystkich ludzi kulturalnych, magazynu, tak popularnego na Zachodzie „Journalu". Z konieczności sprowadzamy takie z zagranicy i czytamy rzeczy obce, dla nas często nietylko niezrozumiale, ale przedewszytskiem nieaktualne i niestosowne. Pomijamy tutaj kwestje, że wydawnictwa takie, zagraniczne, każą sobie za swoją, czasem bardzo wątpliwą wartość płacić sumy olbrzymie.

To też oddając nasze pismo do rąk P. T. Publiczności, chcielibyśmy być łącznikiem między Wami; a tem wszystkiem, co interesuje Was.

Zdecydowaliśmy się przeto dać społeczeństwu odpowiednie pismo, dostępne dla wszystkich sfer społeczeństwa, interesujące się wszelkiemi zjawiskami kulturalnego życia społecznego, tak, aby stało się ono niezbędne w domu każdego, naprawdę każdego inteligenta. Uwzględniamy więc szeroko dział mody, urządzenia wnętrz, życia towarzyskiego i literacko artystycznego, dajemy dział handlowy potraktowany z punktu widzenia szarego człowieka, dział sportowy i wiele innych, pomniejszych działów. Chcąc dać rzecz naprawdę wartościową, wydawnictwo nasze nie szczędziło czasu ni kosztów, by znaleźć do współpracy przedewszystkiem ludzi naprawdę fachowych, którzy mają nietylko nazwiska, ale i rzeczywistą wiedzę.

Uchylimy jeszcze rąbka tajemnicy: pismo to wychodzi w Krakowie z inicjatywy Krakowian. Gdyby wydawanie takiego pisma było choćby najmniejszym dodatkiem do kulturalnego dorobku grodu Wawelskiego, będącego dzisiaj sanktuarjum całego narodu — bylibyśmy dumni z naszego dzieła. Sądzimy też, że żaden Polak nie odmówi nam poparcia i wydawnictwo nasze zwraca się do Szanownych Państwa z prawdziwą i szczerą prośbą: **Nadsyłajcie nam wszelkie uwagi o naszem piśmie,** wszystko jak najchętniej przyjmiemy. Obiecujemy sobie dużo po tej współpracy.

Redakcja.

Jak Pan Bóg stworzył redaktora

(Bajka japońska)

Pan Bóg stworzywszy ludzi, pomyślał sobie, że byłoby dobrze gdyby każdy własną pracą zarabiał na życie.

Nie zwlekając, polecił więc archaniołom, aby zwołali wszystkich ludzi przed tron niebieski.

Skoro się zebrali, rozkazał Pan Bóg przynieść wór duży, zawierający wszelkie zawody i zajęcia.

Te rozdzielać zaczął pomiędzy zgromadzonych. I w ten sposób jeden został stolarzem, drugi krawcem, trzeci szewcem, czwarty aptekarzem...

A w nieskończonej swej mądrości uczynił tak, że wszyscy byli zadowoleni, i wszystko odbyło się z największą sprawiedliwością.

Kto miał obrotny język i piękną wymowę, został adwokatem; kto odznaczał się odwagą, żołnierzem; kto umiał szybko uciekać, kasjerem; kto cenił nad wszystko sprawiedliwość, sędzią; kto lubił „trąbić“, kapelmistrzem; kto był uprzejmym i poważnym, radcą; kto grzeszył ślamazarnością, ministrem; kto lubiał spać, został stróżem; kto był wygadany, kupcem; a kto gburowaty, żandarmem; kto lubiał wiele obiecywać, posłem; kto się kochał w słodyczach, cukiernikiem; kto miał nos czerwony i łysinę, drogerzystą...

W ten sposób czynił i rozdzielał swoje dary Twórca, dopóki nie wypróżnił się cały worek. Nie zapomniał też o tych, którzy pokutować mieli za wiele grzechów i zrobił ich nauczycielami, telefonistkami lub szwaczkami.

Po ukończeniu podziału chciał Pan Bóg odesłać już ludzi zpowrotem do domu, gdy oto z poza tronu niebieskiego, odezwał się głos żałosny:

— A mnie, Panie, nie dasz żadnego zawodu?

Stwórca się zastanowił.

W rzeczy samej zapomniał o człowieku, który przypadkiem czy umyślnie ukrył się za tronem, aby się przysłuchiwać, a następnie krytykować.

— Dobrze — odrzekł Pan Bóg — ale dział już jest ukończony. Jak widzisz, worek jest pusty, wszystkie zawody rozdane, cóż ja ci dam biedaku?

Po krótkim namyśle zwrócił się jednak do wszystkich ludzi i rzekł:

— Jako przykładne dzieci Boże musicie się złożyć dla tego człowieka na zawód, inaczej zrobi się skandal.

Ludzie szemrali wprawdzie, ale nie myśleli opierać się woli Pana. Każdy jednak, jak to się zwykle dzieje, gdy ofiarowujemy coś pod przymusem, postanowił w sercu swojem oddać najgorszą część swego zawodu.



Gabinet męski

A więc adwokat oddał mu część swojej wymowy i sporą część krętactwa, artysta swe pragnienia, żołnierz zuchwałość, nauczyciel połowę swej biedy, wszyscy uczeni potrosze ze swej wiedzy, dworacy podzielili się z nim swoją układnością i uprzejmością, poeci dali mu sporo ze swej fantazji i zapału, a drogerzysta kapkę ze sztuki oszydzania ludzi, którą zdobył, fabrykując wodę farbowaną ze sokiem, zamiast kropli żołądkowych.

Wyobrazić sobie można jaki pasztet wytworzył się z tych ofiar.

I cóż ty biedaku poczniesz z temi skrawkami? — zapytał Stwórca ze smutkiem.

Dam sobie radę — odrzekł obdarowany z ironicznym uśmiechem — zostanę redaktorem, aby się wywdzięczyć swym dobroczyńcom!...

Psychologja i rodzaje reklamy

Są dwie różne metody ogłaszania się. PIERWSZA: ma na celu zawiadomienie szerszego ogółu o pewnym towarze, lub też w ogólności o pewnej idei ogłaszającego się, DRUGA: zaś służy nietylko dla zawiadomienia czytelnika o istnieniu pewnego towaru ale ponadto jej celem jest ułatwienie uskutecznienia sprzedaży danego towaru.

Oglaszanie się w poszczególnych pismach, czy rycznej handlu i jego potrzeb.

Ogłoszanie się w poszczególnych pismach, czy też wystawach, było wypływem zrozumienia funkcji sprzedaży, którą pierwotnie uważano za czynność zupełnie prostą, polegającą na wymianie pieniędzy za towar. Pierwsi amerykanie dopiero zrozumieli, że zapłata za towar jest tylko ostatnią fazą procesu psychologicznego, najbardziej widoczną dla sprzedającego i nawet najwyraźniejszą dla kupującego.

Kupujący musi przedtem dowiedzieć się o istnieniu pewnego rodzaju towaru, nabrać przekonania, że towar odda mu w rzeczywistości pewne korzyści, upewnić się o jego wartości i dopiero po tem wszystkiem zdecydować się na jego kupno. Dlatego też sprzedawać, znaczy to wywołać w umyśle drugiej osoby zapomocą rozmaitych sposobów (mowy, druku, rysunku) pewien ściśle określony proces psychologiczny, który ma doprowadzić do czynu kupienia towaru.

Zadaniem reklamy jest przeprowadzenie takich procesów psychologicznych w umyśle nie jednostki lecz szerszego ogółu. Zwykle jednak samo ogloszenie nie wystarcza do przeprowadzenia całkowitego procesu sprzedaży: w większości wypadków jest ono jedynie początkową fazą i rola jego polega na przekształceniu obojętnego czytelnika na odbiorcę towaru, który dopiero pod wpływem wywołanego procesu psychologicznego staje się odbiorcą. Aby umieć wywołać odpowiedni proces umysłowy, należy przedtem zaznajomić się z jego przebiegiem i zbadać okoliczności, wśród których powstaje. Dopiero po takim zapoznaniu się można odpowiednio wykorzystać wszystkie walory reklamy.

Potrzeby są nieograniczone co do swej liczby, bo w miarę postępu cywilizacji zwiększa się ich ilość, a każda nowa myśl tworzy nową potrzebę. Troską sprzedawcy jest, aby nietylko zaspakajać istniejące już potrzeby, lecz także tworzyć nowe. Teorja możności tworzenia nowych potrzeb jest w gruncie falszywa, wykazuje to historja, na podstawie której latwo stwierdzić, że już człowiek przedhistoryczny mial prawie te same potrzeby, które my obecnie mamy. Dlatego też troską nowoczesnego producenta w szczególności kupca stalo się nietylko zaspakajanie potrzeb sposobami już istniejącemi, ale wyszukiwanie coraz to nowych i przedewszystkiem lepszych sposobów dostępniejszych dla szerszej masy społeczeństwa. Wyszukiwanie tych sposobów zależne jest od poznania wszystkich uczuć, jakim podlegają ludzie. Wprawdzie uczucia i pożądanie zaspokojenia ich nie wystarcza człowiekowi, trzeba je umieć zaspokoić.

Dlaczego i co kupujemy? Kupujemy artykuly codziennego użytku potrzebne nam do naszego istnienia, ale przecież prócz tego kupujemy cały szereg przedmiotów wywołanych inną potrzebą. Przez potrzebę rozumiemy uczucie braku i pożądania tego, czego nie posiadamy. Dla usunięcia tego uczucia, dla zaspokojenia nas samych, naszych pożądań kupujemy te przedmioty, które nam potrzeba nakazuje. Potrzeby są nieograniczone co do swej liczby, bo w miarę postępu cywilizacji zwiększa się ich ilość, a każda nowa myśl tworzy nową potrzebę. Troską producenta winno być, aby nietylko zaspakajać istniejące już potrzeby, lecz także tworzyć nowe, nie sposobami już istniejącemi, lecz przez wyszukiwanie coraz to nowych sposobów dostępniejszych dla szerszej masy społeczeństwa. Wyszukiwanie tych sposobów jest zależne od poznania wszystkich uczuć, jakim podlegają ludzie, bo uczucia i pożądanie zaspokojenia ich nie wystarcza człowiekowi, **trzeba je umieć zaspokoić.**

Zagadnienie sprzedaży sprowadza się nietylko do zaspokojenia uczuć pożądania, danym towarem, lecz także do wyszukania sposobów pobudzenia kupujących do nabycia nowych przedmiotów. Dzieje się to zapomocą REKLAMY, w której staramy się czytającego dane ogłoszenie nietylko zainteresować na chwilę danym towarem, ale zmuszamy go do natychmiastowej akcji. Nieumiejętne ułożenie reklamy nie zachęci bynajmniej czytającego do zakupna danego przedmiotu.

Zastanówmy się dlaczego i w jakich okolicznościach budzi reklama u nas zainteresowanie i dlaczego pod wplywem jej nabieramy do danego przedmiotu (który mamy zamiar nabyć) zaufanie?

GŁÓWNĄ ROLĘ PRZY REKLAMIE ODGRYWA UWAGA, KTÓRĄ MUSIMY PRZEDEWSZYSTKIEM NA NIĄ SKIEROWAĆ. Najlepiej na zwrócenie tej uwagi dzialają reklamy ruchome. Na ulicach, w kawiarniach, barach itp. stale wyskakujące i znikające litery, czy też przedmioty muszą zwrócić uwagę, dla zaspokojenia której czytamy, czy też oglądamy ją. Jeśli jednak chodzi o tego rodzaju reklamy muszą one stale być zmieniane (co pewien czas), celem stalego zwracania uwagi przechodniów, w przeciwnym bowiem razie stają się podobne do reklam stałych (szyldów, tablic, gabilotek) itp., do których łatwo się przyzwyczajamy, przez co tego rodzaju reklamy odnoszą mniej pożądany skutek, ani-

żeli inne (o których mowa później). Wszystkie większe miasta zaprowadzają u siebie ten rodzaj reklam, który jest bezprzecznie najlepszym. Ale na tego rodzaju reklamy ruchome nie może sobie pozwolić kupiec przeciętny, który musi się uciekać do innego rodzaju reklam, którym są reklamy w prasach, czy w dziennikach specjalnie na ten cel przeznaczonych.

Ileż to ludzi dziennie czyta w domu czy też w lokalach dzienniki i różne pisma w pogoni za nowinami, a czytając je zwraca uwagę na reklamy poszczególnych firm, czy też kupców większych, czy mniejszych. Dążący stale do udoskonaleń i nowości Amerykanie więcej cenią reklamę pism i dzienników, reklamę ścisłą, zachwalającą dany towar szczegółowo i fachowo, aniżeli reklamę świetlną. Jeżeli chodzi o tego rodzaju reklamę, to czynnikiem najpierwszym sprzyjającym zwróceniu uwagi na dane ogłoszenie jest **wielkość, jakość i oryginalność tej reklamy.** Ogłoszenia wielkich rozmiarów są napewno bardziej skuteczne, aniżeli mniejsze. Ogłoszenia w czasopismach nie posiadających większej liczby ogłoszeń łatwiej można zauważyć, aniżeli te same w piśmie o bardzo licznym materjale ogłoszeniowym. Chcąc jednak zwrócić uwagę każdego na dane ogłoszenie, a przez to na oferowany do sprzedaży, czy kupna przedmiot (towar) powinniśmy się starać, aby ogłoszenie było jaknajwiększe, aby w treści było najintenzywniejsze i najściślejsze, aby odróżniało się treścią, układem i sposobem zainteresowania od innych podobnych w danym piśmie ogłoszeń i możliwie znajdowało się w odosobnionem od nich miejscu.

Jakikolwiek weźmiemy pod uwagę rodzaj reklamy, (świetlne ruchome, świetlne stałe, gabilotki, afisze, szyldy, czy też reklama w prasie) winniśmy wziąść pod uwagę czynniki wpływające na skuteczność takiej reklamy, która należycie użyta i zrozumiana stanie się naprawdę „DŹWIGNIĄ HANDLU".

„Walaw"

Dekrety

Nowelka

Śnieg dużemi płatami opadał na ziemię — silny mróz przyozdobił w piękne rzeźby okna domostw, w których gdzie niegdzie zapalono światła. Przez zamarznięte szyby widać było kontury choinek, na których lśniły bogate ozdóbki. Zapadał wieczór. Nieliczni przechodnie obarczeni pakunkami z pogodnym uśmiechem zdążali do domu nastrojeni poważnie — świątecznie. Dzwonki saneczek przerywały ciszę dźwięcznym klekotem, — mróz skrzypiał pod butami dodając uroku błogiej ciszy. Gdzie niegdzie spóźniony w zakupie choinki przechodzień niósł ją ciesząc się niespodzianką jaką sprawi w domu nie mówiąc już o rybie, która pyszczkiem wystającym z kieszeni palta jeszcze chciwie łapała powietrze. Tu i ówdzie słychać było nieśmiało jeszcze nuconą kolendę. Paru jejmości wraca chwiejnym krokiem z „tradycyjnej rybki" niezbyt solidarnie poszcząc z resztą rodziny. Bogate futra szczelnie zapięte nie pozwalają im przypuszczać, jaki mróz wokół się panoszy.

Pan Bonawentura jest zaproszony do swego kolegi z biura — przedtem jednak z okazji renumeracji dla zaoszczenia apetytu wstąpił do „Hawelki" — i właśnie w tej chwili raczy się koniakiem, bo to i mróz wielki no i animuszu warto mieć trochę, aby okazać się miłym i wesołym gościem. Wspaniałe sobolowe futro opina jego zgrabną figurę. — Jest szczęśliwy — posadę ma bardzo dobrą... jest urzędnikiem państwowym, ma wprawdzie żonę i dwoje dzieci, ale wyjechały one do rodziny, a on korzysta z łaskawego zaproszenia kolegi, gdyż inaczej zmuszony byłby spędzić ten uroczysty wieczór gdzieś w restauracji, a tego nie lubi — jest zwolennikiem domowej kuchni. Kelnerzy z szacunkiem wysłuchują dyspozycję wytwornego pana, starając się jak najszybciej spełnić rozkazy.

Jeszcze jeden kieliszek! — Proszę zapakować ten koniak! Biorę ze sobą. Wypiwszy zamówiony kieliszek, choć dziwnie nie wyczuwał w nim smaku, i włożywszy zapakowaną flaszkę do kieszeni wychodzi z zadowoloną miną człowieka dostatniego, czuje chłód w nogach, ale tłumaczy to tem że na taki mróz nie powinien był brać jedwabnych skarpetek. — no ale trudno, to już nie daleko! Był smakoszem, przed oczyma jego przesuwają się obrazy wytwornych dań, któremi kolega jego będzie starał się mu zaimponować — zresztą stać go na to — tak samo jest urzędnikiem państwowym, nie, ten chłód staje się nieznośnym — trzeba wziąć taksi, w sankach zmarzłby więcej. Szofer jakby odgadł jego myśli już zapuścił maszynę — otworzył drzwi i uprzejmym gestem zaprosił do środka — wsiadł. — Sam miał ongiś ochotę kupić auto, wstrzymał się, teraz stanowczo to zrobi — to jest dobra rzecz, będzie mógł spłacać z miesięcznej pensji — a taka wygoda, stanowczo po świętach! Ale co to jest, że mu tak okropnie zimno, ani koniak nie pomógł — oby tylko prędzej być na miejscu bo i jeść jakoś gwałtownie mu się teraz zachciało, a tu widzi, że wieczór wigilijny już się rozpoczął — nie wypada się spóźnić.

Flaszka koniaku spoczywająca w kieszeni dodawała mu ciepła, zaczął zastanawiać się jak on ją właściwie wniesie — może nie wypada — ach nie, cóż znowu podaruje ją panu domu, wszak wśród urzędników jest przyjęty zwyczaj ofiarowywania kolegów koniakiem czy jakimś drogim likierem — jeszcze przy takiej okazji — ale dlaczego do djabła jest mu tak zimno!

Nareszcie! — Maszyna zatrzymała się pod wskazanym adresem. Pan Bonawentura jak nie na swoich nogach wszedł na pierwsze piętro, nacisnął guzik dzwonka, otworzono natychmiast. — W przedpokoju za służącą Bolek z rozłożonemi rękoma z uśmiechem przyjaznym na ustach, oczekuje gościa — ruch okropny. — Proszę, proszę, czekamy! No wreszcie. Gdzieś się zawieruszył? No, no, wchodź szybko bo zimno. — Wita się z panią domu, córkami, wchodzi do salonu rzęsiście oświetlonego. — Ruch w domu, że coś strasznego — cała moc gości — wszystko wesołe, roześmiane, skupiło się koło choinki, na stole obok cała moc prezentów — istny skład jubilerski — nawet futro popielicowe dla najmłodszej córeczki. No, no! Wiedział, że Bolkowi dobrze się powodzi, jest przecież urzędnikiem, no ale... Dwu służących roznosi napoje. Bonawentura pije, ale nie czuje smaku, jest mu stanowczo za zimno — musi być chory, ale nie będzie psuł nastroju swojemi żalami, zresztą o już — prosimy do stołu! Prosimy! —



ZAKOPANE: Widok z drogi na Halę Gąsienicową, na Giewont, Czerwone, Wierchy Wrótka i Halę Kalatówki.



ZAKOPANE: Widok z Buczynowej Turni na Tatry Wysokie.

Wchodzą do jadalni. — Tu oniemiał z podziwu. Stół uginał się od zastawy, słowem przepych, czego tam nie było? Ej ten Bolek! Chociaż ja wiem? Pozwolić sobie może, jest urzędnikiem. — Zmówiono krótką modlitwę, Bonawentura czeka na rybę to jego przysmak... nawet teraz przypomina sobie, że zeszłego roku nie jadł ryby. — Dlaczego? E, nie przypomni sobie teraz, zresztą będzie mu lepiej smakować — o już za chwilę! Niosą!...

Ale co to?! Kto tak silnie bije w drzwi? — Co to znaczy? Wszystko tak jakoś dziwne... On chory?... Nie... Ale gdzie stół?... Bolek?... goście... nie ma nic... Kto tam?... Co jest?... Panie tu komornik! — Jaki komornik?!

— No co niby pan nie wie, że ma dozwoloną kieszonkową egzekucję!

— No, tak... ale Bolek... kolacja... ja jestem przy kolacji...

— Co pan zwarjował? U jakiego Bolka.—Leżv pan pod tym paltocikiem, całe nogi na wierzchu, szyby w oknie nie ma, jak pan może w takich warunkach tak twardo spać i to dziś w taki wieczór.

— A cóż to dzisiaj jest?

— Co pan nie wie, toż wigilja, — ja myślałem, że wpadnę, bo to przed wilją zawsze się coś znajdzie... ale przepraszam... zaglądnę w akta... acha!... tak... pan jest... urzędnikiem państwowym. — O daruj pan ale przeoczyłem, naprawdę bardzo przepraszam.

— Panie więc ta wilja u Bolka... To... to...? Ach czemu pan nie przyszedł trochę później, byłbym choć tę rybę zjadł.

Trudno, stało się.

— Przepraszam, a o którym pan Bolku mówi, bo jeden z waszego biura, powiesił się dziś rano, bał się wieczora i wspomnień, a też miał na imię Bolek, czy nie...

Z obu ust jednocześnie wyszło... P e l t a... Bonawentura zzieleniał — A! śmierci! śmierci! — Okrył szczelnie nogi, obrócił się do ściany, przez którą dochodziło głośne: „Glorja, glorja“ ...i zasnął... Tą razą śnił, że Trzej Mędrcy ze Wschodu przynieśli mu w darze „wyrównanie“ i dekret o zniesieniu podatku dochodowego, bo oni także byli urzędnikami państwowemi.

„Eres“.



ZAKOPANE: Hala Gąsienicowa.



Wspomnienie świąteczne

Fot. Niebubr.

Wpływ dziewictwa na duszę młodych dziewcząt doby obecnej

Czem się różni kobieta dzisiejsza od kobiety wczorajszej i przedwczorajszej? Jeśli zechcemy krótko wyrazić zmianę duchową, która się w niej dokonała, to powiemy: Kobiety są dzisiaj bardziej zróżniczkowane. Nie są już więcej tak skrojone na jedną modłę. Nowe ujęcie kobiecości ujawniło cechy i właściwości, nieznane przedtem. Nie znaczy to, że każda kobieta z osobna stała się bardziej skomplikowaną. Była nią zawsze, względnie było to jej dobrem, kobiecem prawem taką przed mężczyzną udawać. Wobec innej kobiety nie trzeba było sobie zadawać tyle trudu.



Mężczyzna był też zawsze skomplikowany, ale prestiż męski wymagal, by udawać nieskomplikowanego. Niektórzy z nich, n. p. artyści, nie odpowiadali tej roli, bo mieli swój osobisty prestiż.

Kobiety ubiegłej doby były wszystkie unormowane podług jednego szematu — wytworzył się więc monotonny typ, który z pewnością w wydaniu masowem musiał być bardzo nudnym. Dzisiejsza kobieta jest — jakby to powiedzieć — bardziej urozmaicona. Ale dlatego też trudniej znaleść odpowiedź na różne pytania, tyczące się jej duszy. Kobiety zaczynają żyć własnem duchowem życiem. Już u młodych dziewcząt dzisiejszych przejawia się tendencja do wyodrębnienia się. Okazuje się to może najwyraźniej w miłosci. Równouprawnienie kobiety dalo jej liczne swobody, lecz tylko drobną ich cząstkę zdołała ona ująć i objąć stale w posiadanie.

Kobieta dzisiejsza publicznie najmniej mówi o prawie do własnego życia milosnego, ale w praktyce może najwięcej z tego właśnie prawa korzystać choć i tutaj zróżniczkowanie bardzo silnie występuje. Młoda dziewczyna dzisiejsza rozmaicie sobie to prawo tłumaczy. Dziewictwo odpowiednio do tego też odgrywa rolę w jej duchowem życiu — pozytywną, negatywną, neutralną. — Jedna się odnosi do niego obojętnie, druga uważa je za wysokowartościowy atut, inna znów jako niepotrzebny balast.

Niektóre młode dziewczęta uważają dziewictwo za pewnego rodzaju sensacje. Odwiedzila mnie niedawno młoda osóbka z zagranicy i opowiedziała mi w obecności jeszcze dwóch osób — które mówiąc nawiasem, pierwszy raz w życiu ją widzialy — że jest jeszcze dziewicą i wogóle o sprawach płciowych nie ma „bladego“ pojęcia. Ale teraz chciałaby się czegoś dowiedzieć i prosi o odpowiednie książki.

Są wprawdzie dzisiaj jeszcze dziewczęta, które świadomie cenią dziewictwo jako przesłankę małżeństwa i które nawet stosunek czysto przyjacielski z mężczyzną odrzucają jako zbyt intymny. Trzy kierunki dadzą się tutaj zauważyć. Niektóre dziewczęta żądają od przyszłego męża, by był seksualnie tak samo czysty i niedoświadczony, jak one. Inne znowu wprawdzie cenią swoje dziewictwo bardzo wysoko — ale dziewictwo męża jest im zupełnie obojętne. — Istnieje wkońcu jeszcze trzeci typ, który a priori odrzuca dla siebie wszelkie doświadczenia seksualne — ale równocześnie ceni takowe u towarzysza życia — i to bardzo wysoko.

Nastawienie psychologiczne jest więc znamio-

nowane różnorodnością pojęć, tyczących się dziewictwa. Mimo wszystko jednak istnieją pewne właściwości typowe, występujące u przeważającej części dzisiejszych dziewcząt. Mam tu na myśli pęd do małżeństwa i chęć erotycznego eksperymentowania. Dzisiejsze młode dziewczęta chcą wyjść zamąż. Nie sądzę, żeby nasze babki były walkę o męża tak intenzywnie prowadziły jak niejedna młoda dziewczyna doby obecnej. O ile tylko dziewictwo odgrywa jakąkolwiek rolę u chętnego do małżeństwa mężczyzny — będzie dla niego „zarezerwowane“ albo conajmniej będzie się udawało, że jest.

Zdaje mi się, że ten tak silnie wyrobiony pęd do małżeństwa wpływa źle na seksualną kobiecość u dziewczyny. Zaczyna się zastanawiać nad tem, czy działa na mężczyznę i z tego widocznie wypływa chęć erotycznego eksperymentowania. Znam dużo dziewcząt, które świadomie robią „doświadczenia“, czy i jak działają na mężczyznę, przyczem zupełnie nie chodzi o mężczyznę kochanego, tylko o mężczyznę wogóle. Pewna ośmnastolatka opowiadała mi, że w kolejce podziemnej kokietuje zawzięcie obcych mężczyzn, bo chce, żeby ją zaczepiali. Pierwszych parę razy trud był nadaremny. Wkońcu próba się udała. Była bardzo uradowana, że przecież wywiera wpływ na mężczyzn i spiesznie się oddaliła, nie wyciągając z incydentu żadnych dalszych konsekwencyj. Jeden mój znajomy był raz na wykładzie, na którym znajdowały się też uczenice wyższych klas gimnazjalnych. Siedział sam w ławce, a tuż przed nim cztery młode dziewczęta. Odwracały się ciągle, uśmiechały do niego, ofiarowały program — skoro z podziękowaniem odmówił, jedna z nich przeszła przez poręcz ławki i usiadła całkiem blisko niego. Gdy i to nie odniosło pożądanego skutku, wróciła na swoje miejsce. Opowiedziałam tę historję paru młodym dziewczętom, by się dowiedzieć, co o tem sądzą. Rzekły mi na to: „One z pewnością nic nie chciały od tego pana, chciały się tylko przekonać, czy działają na mężczyznę“.

Ta manja eksperymentowania jest dzisiaj tak silnie rozwiniętą, że i niekiedy matki zostają nią zarażone. Znam sama takie, które doradzają córkom, by próbowały, jak „działają“, i które sądzą, że w ten sposób najprędzej znajdzie córka męża. Często już na ławce szkolnej, zaczyna się ta zabawa. Inne znowu matki forytują przyjaźń córki z mężczyznami, już od dziecinnych lat począwszy — też w mniemaniu, że w ten sposób o męża będzie jej najłatwiej.

Lecz i pęd do małżeństwa jest tylko objawem przeważającym, nie zaś ogólnym. Istnieją dziewczęta, które zawód swój stawiają ponad małżeństwo. Znam sama taki wypadek: młoda dziewczyna, która właśnie ukończyła przygotowania zawodowe i — jak to dzisiaj bywa — tymczasowo tylko tu i ówdzie znajduje zajęcie, żyje w małżeństwie koleżeńskim z człowiekiem dużo od siebie starszym, — oboje bardzo się kochają. Człowiek ten pod względem materjalnym jest doskonale sytuowany i chciałby się ożenić. Ona jednakowoż nie może się zdecydować, bo wie dobrze, że w takim wypadku musiałaby zrezygnować z wykonywania swego zawodu.

Chociaż nawet niektóre cechy są typowe dla przeważnej części młodych dziewcząt dzisiejszych — to jednak cechą ich zupełnie nową i zasadniczą jest wielkie zróżniczkowanie, szczególnie do płci męskiej. Jak już wspomniałam na początku — w porównaniu z czasami dawnemi zmieniło się o tyle, że jedna nie jest drugiej podobna — rzecz przyjemna, ale też i niekiedy przykra dla tego, który śledzi ich rozwój, lub też jako człowiek doświadczony chciałby na mocy poznania jednej dziewczyny wyprowadzać wnioski co do wszystkich. Błędne dzisiaj wnioskowanie.

Jeżeli porównamy dziewczęta dużych miast europejskich, okaże się, że miarodajnemi są różnice indywidualne — a nie różnice, wynikające ze środowiska. A jednak i one odgrywają pewną rolę. Jeden mój znajomy mieszkający, w średnio wielkiem prowincjonalnem mieście, chcąc się przekonać, jakie stanowisko ma kobieta w tem środowisku — zrobił następujące doświadczenie: Pytał wszystkich swoich znajomych, młodych i starych po kolei, jak się zapatrują na to, żeby kobieta chodziła sama do kawiarni — wszyscy, bez wyjątku mężczyźni i kobiety, odpowiedzieli, że to nie wypada. To samo pytanie zadane w stolicy — spotkało się naturalnie z całkiem inną odpowiedzią. Uważano je wogóle za nierozsądne, ponieważ twierdzono, że dzisiaj chyba nikt już kobiecie tego prawa odmawiać nie może. Nikt nie chciał wierzyć, że gdzieś wogóle może istnieć miasto, w którem ludzie byliby innego zdania.

Ale — jeżeli nawet młode dziewczęta nie chodzą same do kawiarni to jednak chodzą same swojemi drogami — i w małem mieście i na wsi. A drogi te są bardzo rozmaite, jak to swoje drogi zawsze rozmaitemi były i będą...

„Der Querschmitt, Berlin“



Mozajka Afryki

Jak opowiadać bajki małym dzieciom?

— Mamusiu opowiec mi bajeczkę?

— A o czem?

— O djabełku.

I mamusia opowiada bajeczkę. Długą, zawiłą, ładną bajeczkę. Dziecko przerwie czasem:

— A co to jest okrutny?

— To taki niedobry, zły djabeł.

— A dlaczego djabel jest zły?

albo:

— Mamusiu! A co to jest podach?

— Nie podach, tylko chodził po dachu, Po takim dachu na domu.

I kiedy mamusia wysiliwszy się niesłychanie, ukończy bajeczkę obowiązującemi: „i skończyło się, dwie dziurki w nosie", dziecko nie jest jeszcze zadowolone:

— Mamusiu opowiec mi jeszcze bajeczkę?

Wyrozumiała i cierpliwa mamusia jednak pyta:

— A o czem?

— O djabełku!

Kiedy za dziesiątą bajeczką zada mamusia to samo pytanie, o czem opowiedzieć bajeczkę, znowu dostanie tą samą odpowiedź: o djabełku. Świadczyć to będzie, że dziecko nie dość dobrze przeżyło całą bajkę. Nie zrozumiało jej całkowicie. W czasie bajeczki znużyło się opowiadaniem, bo było ono za długie, zainteresowało się czem innem, czy to pierwszem słowem, które nie rozumiało, czy wreszcie, co świadczy już zupełnie o nieudolności opowiadającego, o rzeczy zupełnie odrębnej od treści opowiadania.

Oczywiście bajka dla dziecka — to jego nieraz drugi świat. Może mniej realny, niż zabawka, niemniej konieczny w wychowaniu. Pierwsze tragedje życiowe dziecko przeżywa właśnie w bajkach.

Ale jakżesz trudno jest bajkę opowiedzieć! Niedość jest przeczytać czy przypomnieć sobie opowieść np. o Czerwonym Kapturku, zapamiętaną jeszcze z dzieciństwa, trzeba opowiadać dziecku znanemi dla niego wyrazami i obrazami. Całą treść opowieści stosować do dziecka, a pewne elementy nowe wprowadzać bardzo ostrożnie, dokładnie je wyjaśnić, dla dziecka zrozumiale i aktualnie. W ten sposób uczymy. Jasno z tego wynika, że im dziecko młodsze, bajkę opowiadać jest trudniej, musi być prymitywniejsza, o prostszej treści. Operować musimy mniejszą iłością wyrazów i przedstawiać fakty, treść bardzo wyraziście...

Pierwsze bajki możemy opowiadać dziecku, już kiedy zaczyna rozumieć. No i oczywiście opowiadamy mu nie językiem dziecinnym, którego sami go uczymy, nie:

...był sobie łaś jeden kłopyczek...

Opowiadamy językiem literackim, takim jakim mówimy my, ludzie dorośli. Opowiadamy dziecku o świecie, który ono zna, w którym żyje.

Półtoraroczne dziecko rozumie już bardzo dużo, pojmie już treść bajeczki. Ale świat jego jest bardzo ograniczony: wie, że wyjeżdża na spacer często, umie nazwać krówkę, konika, kury, psa. Jechało już dorożką. Dla takiego dziecka bajka brzmi mniej więcej tak:

Idę sobie ulicą i patrzę się, a tu idzie — pauza artystyczna dla malutkiej gimnastyki umysłowej dziecka: musi myśleć, kto to idzie? — wiesz kto?

Dziecko zwykle odpowiada: wiem.

— No kto?

— Nie wiem — mówi z rozbrajającą szczerością i pewną niekonsekwencją.

...a tu idzie Malgosia. Biorę ją za rączkę, siadamy do dorożki i jedziemy konikiem. Na spacer. Jedziemy, jedziemy, patrzymy, a tam na polu pasą się krówki. Jedna, druga (niezrozumiałe trochę jeszcze, to „jedna, druga", ale wkrótce wyjaśniamy) — tyle kröweczek. A między temi kröweczkami biega pieseczek i szczeka tak hau, hau, hau, — i krówki się go boją, uciekają...

Następnie można zobaczyć w ten sposób kilka innych znanych zwierzątek, i powrócić do domu. I skończyło się.

Dziecko zwykle naśladuje głosy zwierzątek, cieszy się, jeśli pochwalimy jego dobre naśladownictwo itd... Jednem słowem bajkę rozumie.

Wraz z wiekiem musimy komplikować treść bajeczek, intryga musi być bardziej zawiła, przyczem niezmiernie ważną jest aktualizacja do świata dziecka. Np. dziecko, które zna telefon i często mówi przez telefon do babci, ratuje Czerwony Kapturek z brzuszka wilkowego w ten sposób, że

„...a tu widzi telefon. Halo, halo, halo! Czy tatuś? Tatusiu ratuj mnie, bo mnie zjadł wilk". Tatuś przychodzi z kijem i wilk ze strachu przed wszechmocnym tatusiem oddaje dziecko, które prawie z reguły identyfikuje się z bohaterem czy bohaterką opowieści.

Najlepiej oczywiście dlatego opowiada mamusia bajeczki, że zna życie dziecka i potrafi wpleść w bajkę dziecinne aktualności. Czasem dobry wujaszek lub ciocia opowiadają zawiłą i długą bajeczkę, cudną, specjalnie dla kochanego siostrzeńca przygotowaną, chłopczyk czasem wysłucha jej grzecznie, ale na końcu powie z radością: No teraz o... i poda tytuł swojej najulubieńszej bajki, bo choć słyszał ją już tyle razy, to o tyle ją woli, niż nowe wspaniałości, że ją rozumie. Tak, jak my się cieszymy, kiedy usłyszymy w radju znajomą melodję.

Bądźcie więc tym dzieckiem ,któremu opowiadacie bajki. I jeszcze jedną mam prośbę do mamuś wszystkich: nie kupujcie swoim pociechom książek z obrazkami, z objaśniającemi wierszykami. A jeśli już wierszyki stworzył jakiś kiepski wierszorób, to nie uczcie ich dzieci. Dobrze?

Tajemnica pięknej cery

Dziś, gdy czasy Ninon de Lauclos stały się legendą, dziś gdy kobieta stojąca u boku mężczyzny przy warsztacie pracy, a nierzadko utrzymująca całą rodzinę pracą rąk własnych przestała być rarogiem — kwestja jaknajdłuższego utrzymania młodości i świeżości jest zagadnieniem bardziej palącem jak dawniej. Zdolności i inne wartości osobiste często w życiu codziennem, w walce o byt, schodzą na plan 2-gi, zepchnięte walorami natury zewnętrznej.

Musimy więc zdać sobie sprawę z tego, że uroda i młodość były i są zawsze potężnemi atutami w ręku kobiety starającej się o pracę.

Podczas mej kilkoletniej pracy w Instytucie Kosmetycznym też coraz częściej stykam się z kobietami świadomemi tego. Coraz szersze kręgi kobiet wiedzą o tem, że pielęgnowanie siebie przestało być właściwością ludzi zamożnych i że jest koniecznością wszystkich.

Tylko sposób pielęgnownania zmienił się gruntownie. Dzisiaj wiemy, że urody od zewnątrz nałożyć nie możemy, że nakładanie pudru i różu na skórę niezdrową jest tylko pacykowaniem nierokującem nic dobrego — bo świeżość i uroda idą zawsze w parze ze zdrowiem ogólnem. Na podstawach ściśle naukowych wytworzyła się nowa gałąź wiedzy — kosmetyka.

Terenem działania tej nauki jest Instytut Kosmetyczny, w którym, pod kierunkiem lekarza-specjalisty, wyszkolona i rozumiejąca swą pracę kosmetyczka doprowadza już to zniszczoną i zwiotczałą skórę twarzy zapomocą regularnych zabiegów do lepszego wyglądu, bądź też stara się twarz młodą utrzymać zdrową i świeżą.



Instytut Kosmetyczny to instytut gimnastyczny twarzy, gdzie obok lekkiego masażu ręcznego stosuje się rozmaite środki — (a więc maski ciepłe i zimne, naświetlania lampami różnego rodzaju) — rozszerzające naczynia krwionośne, a temsamem uznające odżywienie skóry. — Tu też otrzymujemy rozmaite preparaty chemiczno-kosmetyczne, jak kremy, pudry, róże, które odpowiednio dobrane do rodzaju i karnacji skóry mogą cuda zdziałać.

Umiejętne połączenie zabiegów kosmetycznych, opartych na znajomości skóry i doboru kosmetyków jest **tajemnicą pięknej cery.**

Mgr. Em-Ka

Zanim pani przystąpi do pudrowania

Proszę przeczytać uważnie tych kilka krótkich lecz dokładnych uwag. Kobieta piękna i doskonale obeznana z pielęgnacją, ktora posiadła sztukę umiejętnego pudrowania się, przemawia tutaj do Pani i dzieli się z Nią swemi doświadczeniami w tym kierunku.

Przedewszytkiem strona hygieniczna

Skóra twarzy nasiąka w ciągu dlugiego dnia rozmaitemi drażniącemi ją nieczystościami, znajdującemi się w powietrzu i jest zawsze wystawiona na działanie nagłych zmian atmosferycznych. Wszystko to odbija się ujemnie na naturalnych funkcjach skóry powodując nieczystą cerę i wągry. Przy wysokiej temperaturze skóra poci się i błyszczy, co jest nadzwyczaj nie przyjemne i nieładne. Zaradzić temu może Pani pudrując się. Puder stanowi odzież dla twarzy, osłania ją i chroni od wpływów szkodliwych. Doskonały pod względem przyrządzenia, a w skutkach nieszkodliwy puder jest więc już z punktu widzenia hygjeny niebywale pożyteczny.

Niech się Pani zorjentuje według tabeli

która Jej mniej więcej wskaże jakie kolory nadają się dla Jej cery. Dzięki tym wskazówkom będzie Pani mogła z łatwością dobrać sobie kolor odpowiedni.

Kolor włosów	Kolor oczu	Kolor cery	Puder	Róż
Jasno blond	niebieski	blady	natural I	blonderouge
ciemno blond	niebieski	świeży	natural I	rouge I
blond rdzawy	niebieski	kremowy	natural II	orange
kasztanowaty	piwny	z odcieniem rumieńca	rachel I	india
kasztanowaty	szary	świeży	natural II	rouge II
kruczo czarny	czarny	blady	rahel I	—
czarny	czarny	śniady	terra	india

Dzień pięknej pani

Kiedy już dawno przebrzmiał miarowy głos kpt. Dobrowolskiego, który we wspaniałem tempie, olimpijskiem, podawał teksty ćwiczeń porannych, usłyszała Stefcia głos swojej Pani:

— trrr, trrr, trrr, trrr

Stefcia rzuca swoje pilne zajęcie i pędzi do sypialni. Po drodze wygładziła fartuszek, przypudrowała nosek, pochowała pilniki do manicure i oto już przychodzi na wezwanie:

— Dzień dobry. Czy nastawić radjo?

— Właśnie na Stefcię wołałam. Wiesz, że nieopuszczam nigdy gimnastyki. Stefcia manipuluje przy olbrzymim Telefunkenie. Lecz wciąż rozlega się piękna symfonja ciszy.

— Nie gra!

— A która godzina? Pewnie znowu zaspałam.

— No tak. To zawsze tak jest jak się gra w bridża. Przesypiam prymitywne zasady pięknej kobiety. No wynoś się!

Ten ostatni krzyk skierowany był do małego pieska, który przebudzony niebywałym ruchem o tej godzinie, wystawił ze swojego legowiska mordkę i wyskoczył na powitanie do swej Pani. Obudził się na odgłos swego Pana: his master voice.

Ale wyniosła się pokojówka, a piesek z pewną siebie miną, jakiej pozazdrościłby mu najprawdziwszy mężczyzna, przytulał się do swojej pani.

Była godzina 10 minut 6.

— Kiedy Pan wczoraj wrócił?

— Powinnaś pamiętać! Prosiłam cię przecież o to, żebyś uważała. Nie chcę Janowej wtrącać w nasze sprawy. No ale idź, spytaj się jej. Odrazu zadysponuje obiad.

— Co Janowa robi dzisiaj na obiad? Niechno mi Stefcia poda ten zeszyt z mojego biurka, w takiej szarej oprawce. Tak! ależ nie zgadza się z moim tygodniowym rozdziałem. Dzisiaj będzie...

— Acha, jeszcze jedno. O której wrócił pan wczoraj. Dobrze. Dziękuję. Stefciu, może zdejmiesz mi już ten okład. I tak całkiem się rozluźnił. A wcale nie mówię dużo. Zresztą, żeby mi nawet mówić nie wolno było u siebie w domu. Podaj mi jeszcze ten biustnik. Ależ nie ten!!! Przecież nie mogę ubrać różowego biustnika do zielonej kombinacji, że też nigdy cię nie nauczę smaku.



— O jak się cieszę, żeś przyszła Hanko! Cóż z Freggiem zerwałaś, Żeś o tej porze u mnie?

— Taka dzisiaj słota, że mi się nie chciało tam jechać. Aaa! Pokaż no Marysiu! Nie to coś fenomenalnego! Tylko jabym ten szal troszkę wystawiła więcej naprzód. O tak!

— Jakżesz było u Zenki? Opowiadaj. Z kim flirtowałaś?

— Tadzik powiedział mi, że to kompleks Freuda. Byłam zachwycona, żebyś wiedziała, jakie mieszkanie ma Zenka! Nie! Świat się kończy! A auto! Limuzyna; A wiesz, Tadek napisał mi, że będzie wkrótce w Krakowie i Stasia przywiozła mi list do Katowic, więc byłam szalona.

— Zaraz, kto jest Tadzik, a który Tadek przyjedzie. Bo to zdaje się nie ten sam człowiek.

— No pewnie! Ja zawsze tak, jak warjatka opowiadam. Tadzik jest bardzo wytworny Pan, ale bym nie pocałowała się z nim. Ma takie kolące wąsy!

— — — — — — — — — —

Co robiłaś rano? Wychodziłaś z domu?

— Nie wychodziłam nigdzie, ale sobie zato zrobiłam tyle drobnych rzeczy. I gimnastykowałam się...

— Ale nie przy radju?

— Ach nie. No, potem, tak sama. Ale wiesz była Hanka. Taka miła ladna dziewczyna, ale strasznie fiufiu. Natrzeszczała mi tyle, że nic nie wiem z tego. Była na imieninach u Zenki. Podobno bawiła się dobrze.

— A ty gdzieś wczoraj wieczorem była.

— Byliśmy z Karem na filmie polskim, a później u Wisi grałam w bridża.

— A zaraz popołudniu?

— No musiałam się przespać. Aha i u krawca byłam. Zamówiłam kostjum narciarski. Radził mi zrobić pumpy. Jak sądzisz?

— Sądzę, że to wszystko jedno. I tak nie będziesz w nich jeździła na nartach. A do bridża ci powinny i pumpy wystarczyć.

— Eee! Ty zawsze swoje. Taka jestem zmęczona. No! dobranoc kochany! Wyłącz radjo.

Z.

Czem jest zawód pracującej kobiety dla małżonka?

Jednym z najbardziej nowoczesnych problemów, przed którym dawniej, ani kobieta, ani mężczyzna — rzadkiemi tylko wyjątkami — niestawali, to stosunek zawodowo pracującej kobiety do męża i naodwrót.

Istniały wprawdzie już dawniej artystki, których zawód doprowadzał często do konfliktów małżeńskich, ale były to tylko sporadyczne wyjątki i tragiczne wypadki. Dzisiaj natomiast posiada każda kobieta podobnie jak i mężczyzna swój zawód bądź to zawód matki i Pani domu, czego przedtem za zawód nieuważano, bądź też zawód podwójny w domu i poza domem. Działalność kobiety w domu stała się obecnie prawdziwym, uznanym zawodem. Mężczyzna stoi teraz wobec kobiety jako wobec człowieka pracującego zawodowo, równego sobie, który swe siły i zdolności wykorzystuje w odpowiednim kierunku, na odpowiedniem miejscu.

Jakież to zmiany sprowadza dla niego? Przedewszystkiem powstaje nowa i całkiem dla niego obca sytuacja, podobnie zresztą jak i dla kobiety w stosunku do mężczyzny. Wprawdzie i od nowoczesnej kobiety wymaga się bardziej czynnego i głębszego, aniżeli dotychczas udziału w sprawach zawodowych mężczyzny, ale ten udział i ta pomoc leży więcej w jej naturze, aniżeli w naturze mężczyzny, od którego wymaga się obecnie koleżeństwa w małżeństwie i czynnego zainteresowania w sprawach kobiety. Mężczyzna bowiem za mało zajmował się dotychczas sprawami domowemi i wychowaniem dziecka. A jeśli już z konieczności musiał się tem zająć, czynił to niechętnie i powierzchownie, a nie rzadko z głośnym protestem i czekał tylko sposobności by się tego zajęcia pozbyć. Naturalnie zdarzały się także wyjątki, zwłaszcza w starszych małżeństwach, ale ci właśnie obowiązkowi małżonkowie uważali czynność nie za pomoc, świadczoną żonie w zawodzie, lecz jako część swego wszechwładnego stanowiska w domu i życiu. Mieli pełną odpowiedzialność i władzę, a żona musiała wykonywać polecenia według ich woli.

A teraz nagle ma ustąpić to wszechwładztwo, a miejsce jego ma zająć równość. Naturalnie, że ta zmiana stanowiska nie mogła im przyjść łatwo. Możliwie, że dopiero młodsza generacja zdoła uznać stanowiska kobiety nowoczesnej i stanie u jej boku ramię przy ramieniu.

Oto zasadnicza postawa tego problemu:

Mężczyzna musi uznać zawód kobiety za równy swojemu. Jakże może on do tego dojść? W jaki sposób może obok własnych zajęć zawodwych — wziąć wydatny udział w zawodzie kobiety? Czy ma może nauczyć się gotować i poznać tę dziedzinę gospodarstwa domowego, czy może dzieci karmić lub sprzątać? Czy ma on może — jeśli żona jest sekretarką, fryzjerką, fotografką, aktorką lub wykonywa inny zawód — nauczyć się tego samego, by móc wglądnąć w tajniki jej zawodu, stać u jej boku, podobnie jak ona przy nim? Wygląda to początkowo na żart i w praktyce jest rzeczywiście trudne do przeprowadzenia. A jednak musimy na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Czy może bowiem istnieć prawdziwe współżycie bez współudziału w przeżyciach. Zasadniczo więc powinna kobieta i mężczyzna tyle posiadać wiadomości w zakresie obopólnego zawodu, by móc nawzajem się wspomagać, a nawet zastępować. Tylko wtedy bowiem może istnieć obopólne zrozumienie i rozwój tego problemu musi iść właśnie po tej linji, jakkolwiek narazie natrafia się na liczne przeszkody, na skutek których trzeba się w praktyce zgodzić na liczne kompromisy. Idealu bowiem nie można zrealizować w zupełności, kompro-

misy są konieczne. Także i kobieta nie może wglądnąć w zupełności w zawód mężczyzny, chyba że przypadkiem obrała ten sam zawód co on. Tak on jak i ona będą się starali uniknąć zajęć całkiem im obcych już choćby ze względu na stratę czasu. Ale od czasu wojny nabył mężczyzna wiele wiadomości w zakresie gospodarstwa domowego, opieki nad dzieckiem, przez co stracił ten zawód na śmieszności także i dla mężczyzny.

Ta okoliczność jeszcze bardziej nabiera znaczenia, przez wspólne gospodarowanie na weekendach i innych przelotnych gospodarstwach. W ostatnich latach powstały nawet plany urządzenia kursów gotowania i gospodarstwa domowego dla chłopców, podobnie jak kursów statystyki i wiadomości politycznych dla dziewcząt. Jeśli mężczyzna i kobieta ten sam wykonują zawód, sprawa jest tem samem więcej ułatwiona. Jeśli jednak kobieta jest malarką lub śpiewaczką, lekarką lub adwokatką, a mężczyzna jako kupiec nie może nabyć tych wiadomości, cóż wtedy? Wytwarza się wówczas trudna sytuacja, mężczyzna bowiem, przyzwyczajony do swego wyższego stanowiska w domu z trudnością nagnie się do zmienionych warunków. My kobiety musimy być sprawiedliwe i pojąć jak wielkiego przezwyciężenia wymagają te zmiany od mężczyzny. Musimy mu dopomóc **miłością i cierpliwością,** stać przy nim na tej nowej, ciężkiej drodze, którą ma kroczyć.

Oboje małżonkowie muszą brakujące wiadomości w zawodzie drugiego pokryć dobrą wolą, wczuciem się i duchowem zrozumieniem. I to się da zrobić, gdyż ważniejszą, aniżeli wiadomości fachowe jest — według słów biblji — **miłość, która wszystko przezwycięża.**

(Frau und Gegenwart, Karlsruhe).

Ujarzmiony czas

Potrzeba oznaczenia i mierzenia czasu istniała od początku ludzkości, a od początku współżycia ludzi stała się koniecznością.

Pierwotni ludzie orjentowali się w czasie, zapomocą zjawisk naturalnych, a więc przedewszystkiem położeniem słońca na niebie. Sczasem sporządzili sobie ludzie zegar słoneczny, korzystając ze spostrzeżonego zjawiska. Zegar słoneczny jest to zwykły pręt, wbity prostopadle do płaszczyzny, a więc do ziemi, muru lub t. p., na której jest umieszczona podziałka. Cień pręta na płaszczyźnie wskazuje godziny. Podziały na płaszczyźnie obliczone były przez astronomów, które sczasem zmieniały się. Zegary słoneczne znane były już w starożytności, a początek miały prawdopodobnie w Mezopotamji i Egipcie, gdzie wysokie budowle, a w szczególności tajemnicze obeliski były pierwszemi zegarami słonecznemi. W roku 550 przed Chrystusem Anaximandros skonstruował pierwszy zegar słoneczny w Grecji, a w 350 roku przed Chrystusem Platon zbudował ciekawy zegar w ogrodzie Akademji w Atenach.

Ulepszenie zegarów słonecznych szło po linji ich użyteczności, także robiono zegary słoneczne, które było można przenosić. A już w roku 330 przed Chrystusem Parmenio skonstruował zegarki słoneczne kieszonkowe. Zegar słoneczny niezaspokoił jednak umysłów ludzkich, tembardziej, że zegary te były zależne od zachmurzeń nieba, przez co często zawodziły.

Wynaleziono więc zegary wodne, zrazu bardzo prymitywne. Były to zbiorniki, z których wyciekała woda przez maleńkie otwory, a ubytek wody w zbiornikach wskazywał godziny. Pierwsze wzmianki o zegarach wodnych są z roku 1500 przed Chrystusem; Król Amenophis I otrzymał w darze od wodza Amenheta zegar wodny, obliczony na jeden rok. Zegary wodne zostały później ulepszone. W roku 507 znajduje się wzmianka w kronikach o zegarze wodnym, który ofiarował król Teodoryk Wielki królowi Burgundji. Zegar ten był już bardzo skomplikowany, wydzwaniał niektóre godziny, w ten sposób, że kuleczki spadały z pewnej wysokości na metalową miseczkę, a ozdobne figury poruszały się zapomocą specjalnie urządzonego mechanizmu.

W okresie wczesnego średniowiecza, zegary wodne nie należą do rzadkości, a często kroniki wspominają o tych zegarach, jako podarunkach dla królów i książąt od władców z Dalekiego Wschodu.

Po wynalezieniu szkła skonstruowano zegary piaskowe. Były to dwa naczynia szklane połączone ze sobą wąskim otworem. Z jednego naczynia przesypywał się drobniutki piasek do drugiego, a gdy cała zawartość z jednego naczynia przesypała się, odwracano przyrząd i t. d. Zegary piaskowe zwane później klepsydrami (zresztą niesłusznie, bo nazwa ta pochodzenia greckiego odnosiła się do zegarów wodnych) znane były już w Grecji, a posiadają do dziś dnia zastosowanie w życiu codziennem.

Czasomierzami były również lampki oliwne, w których zbiorniki z oliwą były oznaczone podziałkami, a ilość wypalonej oliwy wskazywała minione godziny.

Z końcem XIII stulecia pojawia się pierwszy zegar kółkowy, który jest prototypem dzisiejszych zegarów. W XIV wieku konstrukcja zegarów kółko-

wych udoskonala się znacznie i postępuje szybko naprzód.

Zaczynają się pojawiać zegary skomplikowane, a więc zegary bijące, z kalendarzem i pokazywaniem niektórych zjawisk astronomicznych. Najwspanialszem dziełem średniowiecza są t. zw. trzy królewskie zegary, znajdujące się w kościele katedralnym Najśw. Marji Panny w Strassburgu. Pierwszy z tych zegarów zrobiony został w roku 1354, był on ozdobiony figurami świętych, a przedewszystkiem postacią Pana Jezusa, przed którym pochyla się Matka Boska. Na zegarze umieszczony był kogut, który pianiem oznajmiał godziny. Z zegara tego zachował się do dzisiaj jedynie metalowy kogut.

W roku 1574 został zbudowany przez braci Habrechtów drugi zegar, który zasłynął na całą Europę i był opisywany przez ówczesnych poetów. Zegar ten był bardzo skomplikowany i spełniał najrozmaitsze funkcje. Wskazywał on czas średni, czas według południka w Strassburgu, położenie księżyca i ruchy planet, oraz wschód i zachód słońca. Zegar ten był również dokładnym kalendarzem, wskazywał dni, tygodnie, miesiące oraz święta ruchome. Obliczony był na przeciąg 100 lat, poczem musiał być na nowo ustawiany. W każdym dniu tygodnia pokazywała się inna figura symboliczna. Kwadranse wydzwaniały anioły. W pierwszym kwadransie ukazywało się dziecko, w drugim chłopiec, w trzecim rycerz, a w czwartym kwadransie starzec. Godziny wydzwaniała postać śmierci. Codziennie w południe o godzinie 12-ej ukazuje się dwunastu apostołów przed figurą Pana Jezusa, składając przed Nim głęboki ukłon, a kogut umieszczony na szczycie zegara głośno pieje, otwiera dziób i trzepocze skrzydłami. Zegar ten chodził długo, jednak zepsuł się, a żaden zegarmistrz nie potrafił go naprawić, dopiero w roku 1842 J. B. Schwilgué zegar ten zupełnie odnowił i przerobił, nie zmieniając jego zewnętrznego wyglądu. Zegar ten został uruchomiony w Noc Sylwestrową 1842 roku, co było połączone z wielką uroczystością w Strassburgu. Od tego czasu zegar już w niezmienionej postaci znajduje się w bocznej nawie Katedry Najśw. Marji Panny i do dziś dnia chodzi dokładnie. Jest on największą atrakcją tego miasta, ściągając rokrocznie masy turystów z całego świata.

Okres średniowiecza jest bardzo bogaty w różne ciekawe i bardzo skomplikowane zegary, były one bogato ozdabiane i dlatego też posiadają wysoką wartość artystyczną. Wiele pięknych antycznych zegarów można spotkać w muzeach, a największe i najciekawsze zbiory znajdują się w Muzeum w Bazylei, Monachjum i Dreźnie.

W Polsce też mamy wiele cennych zabytków w tej dziedzinie, a najciekawszym okazem jest globus ziemski, posiadający wewnątrz mechanizm zegarowy, który porusza globus, wskazuje godziny i położenia słońca względem ziemi. Zegar ten został zrobiony przez nieznanego mistrza francuskiego w 1510 roku Jest własnością Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Do niedawna był nieczynny, został on jednak w tym roku naprawiony z inicjatywy prof. T. Estreichera i dr. Przypkowskiego przez krakowskiego zegarmistrza p. Józefa Płonkę.

W okresie wczesnego średniowiecza sztuką zegarmistrzowską zajmowali się wszyscy, a przedewszystkiem kowale, ślusarze, a także i księża. Dopiero w XVI wieku wyodrębnia się zawód zegarmistrzowski.

W roku 1665 powstaje w La Chaux de Fonds w Szwajcarji pierwszy ośrodek zegarmistrzowski, którego założycielem jest mistrz Daniel Richard. W kilka lat później powstaje drugi ośrodek w Szwarcwaldzie, gdzie były wyrabiane zegary ścienne i do dziś dnia znane u nas t. zw. „kukułki“.

Zegary początkowo nie były zbyt dokładne i wykazywały duże różnice. Dzięki odkryciom sławnych fizyków, jak Galileusz, Robert Hook, Huygens i wielu innych zegary stawały się coraz dokładniejsze. W roku 1714 był ogłoszony konkurs na najdokładniejszy zegar, z nagrodą 20.000 funtów szterlingów. Nagrodę tą otrzymał John Harisson w roku 1761 za chronometr, który podczas podróży morskiej na Jamajkę, trwającej 161 dni, wykazał różnicę tylko 5 sekund.

Dzisiaj zegarki są wyrabiane fabrycznie. Prawie wszystkie części są robione maszynowo, jedynie składanie zegarków odbywa się ręcznie, co wymaga dużego doświadczenia i dokładności.

Obecnie największym ośrodkiem zegarmistrzostwa jest Szwajcarja, a kolebka szwajcarskiego zegarmistrzostwa La Chaux de Fonds stała się stolicą zegarmistrzowską świata.

Zbigniew P.

Mgr. Elżbieta Willman
b. Prof. Opery Warszawskiej

Dzisiejszy taniec w Krakowie

Ostatniemi laty dało się zauważyć w Krakowie silne ożywienie ruchu tanecznego, nie w znaczeniu salonowem, lecz scenicznem. Co kilka tygodni czytamy: Wieczór tańca X. Y. Imprezy te cieszą się zazwyczaj powodzeniem, gdyż taniec to najprostszy, najprymitywniejszy, a zarazem może najsubtelniejszy sposób wypowiedzenia się, oddania uczucia, czy wrażenia. Lecz właśnie te tak odrębne, wprost krańcowe cechy tańca, czynią zeń sztukę nazbyt trudną. W Hollywood każda ładniejsza panienka chcę „kręcić“ film; w Krakowie — każda chce tańczyć. Czy ma do tego odpowiednie przygotowanie, czy nie, to zwykle nie wchodzi w rachubę; ładne nogi, zgrabna figurka jej wystarczają. Czy rzeczywiście może to wystarczyć? Kto śledzi rozwój tańca, choćby tylko w Europie w ostatnich czasach, żywo zaprzeczy. Było to dobre dwadzieścia, trzydzieści lat temu, gdy jedynie niemal królował na scenie taniec klasyczny, w baletach i w „tutu“. W partyturach operowych ustępy baletowe nosiły nazwę „divertissement“, czyli rozrywka i niczem innem w rzeczywistości nie były. Przeważnie nie były związane z treścią, z librettem, a były tylko miłem dla oka urozmaiceniem. Uszy także odpoczywały, wiemy, iż muzyka tak zwana baletowa była traktowana, jako utwór wartości drugorzędnej, brzęczenie wypełniające ciszę, rytmiczny, a raczej tylko taktowny akompanjament. Słyszano, lecz nie słuchano. Obecnie jest inaczej. Jeżeli nawet tancerz nie zawsze opiera swe ruchy na melodji i harmonizacji utworu, zamiast tylko na takcie i rytmie, jednak muzyka gra o wiele większą rolę. Wprowadza nastrój. Nie może już ona być jedynie brzęczeniem wypełniającem ciszę, ma swój sens, zlewa się z ruchami, z mimiką nawet wykonawcy. Czemuż to? — Ponieważ dzisiejsza sztuka taneczna wraca do swej pierwotniejszej formy: nie polega już tylko na pewnej ograniczonej zresztą, ilości „pas“, skoków, „battements“, „jetés“ i figur akrobatycznych. Zrzuciła z siebie te pęta i stąd pochodzi nazwa tak obecnie modna: tańca wyzwolonego. Teraz każdy ruch ma swoje znaczenie, ciało tancerza jest orkiestrą, w której każdy instrument gra swoją rolę.

Powyższe określenie tańca wyzwolonego jest o tyle słuszne, iż w XIX stuleciu zamknięto taniec w kosztownej oprawnej kasetce, jako klejnot doskonały. Jednakże znudził się nietylko widzom, lecz i samym wykonawcom ów tracący już na blasku klejnot: balet klasyczny. Zaczęto próbować go wyzwolić z jego ciasnego złoconego więzienia. Pierwsza, która to uczyniła na imię miała Izadora Duncan. Przeprowadziła ona formalną rewolucję w dziedzinie tańca. Odwróciła się plecami do baletu klasycznego, a sięgnęła do starożytnej Grecji, by stamtąd zaczerpnąć świeżego, że tak powiem, powietrza. Wiemy wszyscy, jak dużo w Grecji tańczono, a patrząc na reprodukcje rzeźb, plaskorzeźb i rysunków na wazach, zachwycamy się pieknem linji. Lecz zapominamy o tem, że wówczas taniec nie był rozrywką, ale przedewszystkiem uroczystym obrządkiem. Hieratyczne ruchy kapłanek nie miały za cel wywołania zachwytu patrzących, lub też zadowolenia własnego poczucia estetycznego, lecz wyrażały hołd dla bóstwa. Nosiły charakter czysto religijny. Nie były zatem serją plastycznych póz, lecz wyrażały wdzięczność, ból, błaganie, lub t. p. Rytmy i ruchy tych tańców były ściśle przestrzegane. Rytmy te zaczerpnięte były z mowy, przeważnie z poezji, z życia lub z jego przejawów. Możemy jeszcze dalej sięgnąć: w Egipcie, w Indjach, spotykamy się z tem samem. Czczono słońce, pogodę, deszcz, wiosnę, jesień i t. d. odpowiedniemi tańcami. Im dalej na Wschód, tem więcej uroczystych, religijnych tańców. O tem pomówimy obszerniej, kiedyindziej, gdyż wymagałoby to osobnego artykułu.

Wróćmy zatem do Krakowa i przejawów wyzwolonego tańca, jakie w tym mieście dadzą się zauważyć. Należy przedewszystkiem stwierdzić, że publiczność krakowska jest nieco zdezorjentowana; nie zdążyła jeszcze przywyknąć do nowej formy tańca, choć jej gorąco pragnie. To też przy najmniejszych jej przejawach, niestety nie zawsze na wysokim poziomie, sala żywo oklaskuje wykonawcę. Z drugiej zaś strony, Kraków zdaje się potwierdzać słuszność przysłowia: nikt nie jest prorokiem w swoim kraju; a więc, gdy przyjedzie zagraniczna siła i zatańczy kilka numerów „wyzwolonego tańca“, entuzjazm nie ma granic. Miasto nasze nie pamięta wtedy o swoich miejscowych siłach, niejednokrotnie przewyższających obcokrajową gwiazdę! I wkrótce cały tańczący Kraków z większem, lub mniejszem powodzeniem naśladuje „meteora“ w chodzie, ruchach głowy, rąk etc. Jest to najlepszy dowód, iż obecnie w Krakowie nikt prawie, poza zawodowemi profesorami muzycznych i tanecznych szkół tutejszych, nie wie nic o właściwych dzisiejszych prądach nowoczesnego tańca. A przecież nie wszystko jest złotem, co się świeci! Wracamy coraz więcej do hieratycznej formy tańca, z tem, że bóstwa, którym hołdujemy są nietylko liczniejsze, lecz bardziej ludzkie; czcimy dziś pracę fizyczną i umysłową, oraz nie tyle same uczucia, ile nastroje. Plastyczki zbliżyły się do rzeźby i malarstwa i niejeden obraz taneczny zyskałby sobie aprobatę wśród zawodowych malarzy. Balet klasyczny zeszedł obecnie na drugi plan, jest częścią ogólnego technicznego przygotowania do tańca; sam jako taki, coraz mniej pociąga kulturalną publiczność.

Szkolnictwo muzyczne jako czynnik kulturalno-artystyczny

Znane są wszystkim przyklady osób, które w swojej młodości poświęciły całe lata pracy nad tym czy innym instrumentem, a we wieku dojrzalym nawet tyle nie zdradzają zamiłowania do muzyki, aby znaleźć czas i ochotę odwiedzenia czasem sali koncertowej.

Długoletni niejednokrotnie kontakt z muzyką nie przyczynił się w niczem do wzbogacenia zainteresowań artystycznych.

Przyczyną tego zjawiska jest w pierwszym rzędzie jednostronna specjalizacja, a więc studjowanie gry na jakimś poszczególnym instrumencie, ze zupełnem pominięciem innych czynników muzycznych, co w rezultacie powoduje wręcz nie naturalne ukształtowanie się stosunku danej osoby do muzyki. To też zgodzić się z tem musimy, że nauka prywatna pobierana choćby u najlepszego pedagoga, nie może dać nigdy tych wartości, które siłą rzeczy zawiera program nauki przeciętnego zakładu muzycznego. Szkola i tylko szkoła powołana jest do wychowania muzycznego, kładzie bowiem w pierwszym rzędzie nacisk na wychowanie ogólnokształcące w muzyce i stara się ułatwić uczniowi zdobycie pewnego zasobu kultury muzycznej, która pozostawia trwałe ślady, przyczyniając się do wyrobienia artystyczno-muzycznych zamiłowań.

Rzecz prosta, placówka muzyczna, której zadaniem jest nie tylko wykształcić pewien procent wybitnie uzdolnionych jednostek, ale także oddziaływać wychowawczo na szersze masy młodzieży o zupełnie przeciętnym poziomie zdolności, musi uwzględniać w swym programie cały szereg momentów, mających zasadnicze znaczenie w muzycznym rozwoju uczącego się.

Wprowadzenie do nauki dziecka, zaraz gdy tylko zbudzi się jego świadomość muzyczna, przedmiotów takich jak: solfeż i dyktat muzyczny, śpiew chórowy, ilustracja muzyczna, czytanie à vista, wreszcie wszelkiego rodzaju zespoły muzyczne, działa niezmiernie silnie na jego wyobraźnię artystyczną i muzyczną, tem więcej, że brak jakichkolwiek zahamowań i niestępiona wrażliwość czynią z dziecka wdzięczny i niezmiernie podatny materjał. Niestety tego wszystkiego prywatna nauka dać nie może.

W przeciwstawieniu do nauki prywatnej, szkoly muzyczne mają możność stworzenia szerokich ram dla wykształcenia muzycznego, mogą zapewnić uczniowi czyto kształcącemu się zawodowo, czy też traktującemu przedmiot po amatorsku, podstawę do zrozumienia danego instrumentu na szerszej platformie, dającej pewną perspektywę na zagadnienia artystyczne, wychowując sluchaczy sal koncertowych, słuchaczy zdolnych odczuwać całą pełnię wrażeń artystycznych.

Historja fortepianu

Dzieje fortepianu zarysowują się jaśniej dopiero z początkiem XV-go stulecia, t. j. sczasem pojawienia się klawikordu. Klawikord posiadał struny o jednakiej długości zmieniające wysokość tonu za pomocą klawisza, na którego końcu były też umieszczone sztyfty szarpiące strunę wydobywając ton bardzo delikatny, lecz przyjemny. Klawikord zatem posiadał więcej klawiszy niż strun, ponieważ odpowiednio zmieniona struna mogła wydawać dwa i więcej tonów, a ponieważ tony wydobyte z jednej struny równocześnie brzmieć nie mogą i akord można bylo otrzymać tylko o tyle, o ile każda jego nuta należała do innej struny, dlatego zbudowano instrument o równej ilości strun i klawiszy tak zwany klawesyn (z francuskiego clavecin, odpowiadający włoskiemu cembalo lub clavicembalo) zbliżony do cymbałków (po niemiecku Hackbrett), które malo zmienione zachowały się do dni dzisiejszych.

Sztyfty szarpiące struny w klawikordzie zostały zastąpione haczykami stalowemi, przez co ton klawesynu był o wiele silniejszy i bardziej odpowiadający dla celów orkiestralnych.

W XV i XVI wieku pojawiają się następnie spinety, virginale, manikordy, o kształtach trójkątnych lub czworobocznych, różnych rozmiarów, czyto jako mała drewniana szkatułka, czy też czworobok do stawiania na stole, lub zaopatrzony we własne nogi. Z instrumentów stawianych prostopadle przypominających dzisiejsze pianina, pojawiają się klawicyterjum, oraz klawikord-żyrafa.

Klawikordy, jak klawesyny bez względu na przeróżne poprzednio wymienione nazwy i odmiany, ozdobne złoceniami i malowidłami, ciekawemi nieraz ze względu na swoją treść, miały wygląd bardzo okazały. Kilkanaście przepięknych okazów znajduje się obecnie w Muzeum w Berlinie, zaś Muzeum War-

szawskie (Podwale) posiada dwa stare instrumenty tego rodzaju.

Faktyczny rozwój fortepianów datuje się jednak dopiero od Jana Sebastjana Bacha i w roku 1709 pierwszy Bartolomeo Cristofori, Paduańczyk, wpadł na myśl skonstruowania młotkowego fortepianu, zaś w nieco późniejszym okresie Silberman z pomocą genjuszu i doświadczenia Jana Sebastjana Bacha, zapoczątkowuje rozwój i udoskonalenie fortepianu. Datujące się odtąd szybkie tempo prac i wielki zbyt tego artykułu przyczyniły się znacznie, by po wielu próbach i doświadczeniach w dążeniu ku udoskonaleniu fortepianu ustaliły się wreszcie dwa typy: fortepian z mechaniką niemiecką, którego twórcą był A. Streicher, oraz fortepian z mechaniką angielską, twórcą którego był Broadwood.

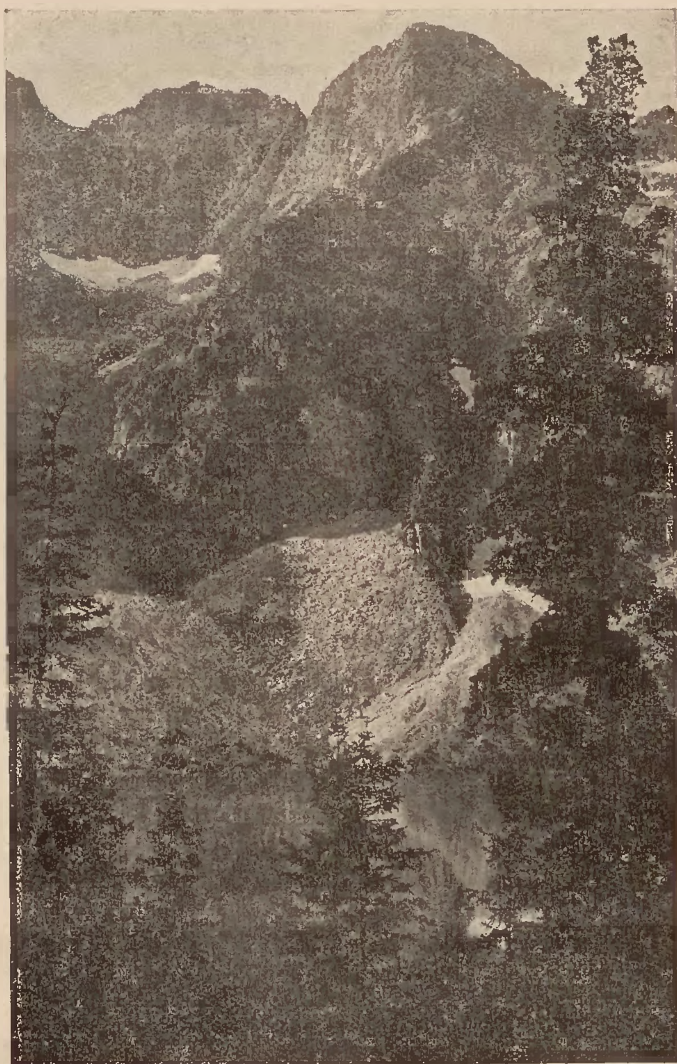
Fortepian wiedeński, o mechanizmie bardzo prostym składającym się zasadniczo z klawiszy i młotków uderzających w struny z przodu, ustępuje fortepianowi angielskiemu o specjalnym mechaniźmie dźwigowym poruszającym z nadzwyczajną precyzją młotki uderzające w struny z tyłu z o wiele większą siłą. Dlatego to fortepian z mechaniką angielską bierze odrazu górę nad fortepianem wiedeńskim ze względu na ogromne walory podwójnej repetycji, oraz lekkości i biegłości gry, pozwalając artystom oczarować wszystkich wirtuozostwem, śpiewnością i potęgą tonu — doprowadzając niekiedy słuchaczy w stan niewiary, zdumienia — a duchowego zadowolenia.

Królem fortepianów jest Steinway Nowy Jork, wyprzedzając Pleyela i Erarda Paryż, Bechsteina Berlin, Bösendorfera i Ehrbara Wiedeń, Ibacha Barmen, Blüthnera Lipsk, Petrofa Hradec Kralove i innych.

Fortepianów z mechaniką wiedeńską dzisiaj prawie się nie buduje z wyjątkiem fabryki Stingl Wiedeń, która prócz fortepianów angielskich wyrabia jeszcze doskonałe fortepiany wiedeńskie, lecz te i pozostałe liczne jeszcze zapasy krzyżowych i prostostrunnych fortepianów wiedeńskich po kilku dziesiątkach lat znikną zapewne z rynku.

Dzisiejszy fortepian angielski, krzyżowy, z pełnopancerną laną płytą, kołkami w dublach, strunami w agrafach, z najlepszą podwójnej repetycji mechaniką angielską systemu Herz Erarda, jest wytworem najwyższej klasy fabrykacji fortepianów i jedynie taki odpowiada wymogom pianisty zaawansowanego i oczywiście dla celów koncertowych. Zaznaczyć musimy jednak, że jest mowa wyłącznie o fortepianach jako o instrumentach wybitnie koncertowych w salach i salonach, gdzie nie mogą być zastąpione nawet przez największy koncertowy model pianina o równie precyzyjnej repetycji mechaniki, a to ze względu na potęgę i barwę głosu (przez poziomy układ strun i rezonansu w fortepianie).

„Fem"


Zakopane Morskie Oko

Lumar.

Katastrofa Kolejki na Kasprowy

— Proszę bardzo, czem można służyć?

— Czy będzie jeszcze jakie wolne łóżko na Kasprowym?

— Oj, na Kasprowem to wątpię, proszę pana. Tylu dzisiaj gości wyjechało. Ale może na hali...

Nastała dziwna cisza w wagonie kolejki linowej na Kasprowy Wierch. W zupełnej ciemności znajdujemy się na nieznanej wysokości. Jak głęboko pod nami sterczą nagie, trochę przykryte śniegiem skały? Tak jaskrawo oświetla światło żarówki twarze turystów, że wydają się blade. Pewnie. Nastrój wogóle nie jest bardzo pewny, ani wesoły.

Karol mimowoli liczył współjadących. 15-tu pasażerów, 16-ty konduktor. Właściwie opiekun wozu, kierownik jazdy, ten co zbyt zbladłym pasażerkom ma dodawać otuchy, opowiadać o stu procentach pewności. Ale dzisiaj ten zazwyczaj wesoły chłopak dziwnie blady jakiś. Czyżby go samego strach obleciał?

— Coś pan dzisiaj markotny — panie Zdziu! — zagadnął, młodego kierownika wagonu, Karol. Znał go bardzo dobrze, tego wesołego i dowcipnego górala, ongiś sławnego zawodnika.

— A no... dziś wilja. Jestem zdenerwowany.

— Czy dlatego, że wilja?

— A i dlatego też. To właściwie najgorszy dzień. I akuratnie 16 ludzi znowu jedzie. Tak prosiłem Franka, żeby jechał, to mu się gdzieś śpieszyło...

— No więc cóż z tego, że 16 ludzi jedzie?

— Jakto, to pan nie wie? Przecież przy tylu pasażerach zawsze zdarzają się te nieszczęścia.

Powiedział to prawie półgłosem, ale słychać było wyraźnie w całym wagonie. Wszystkim troszkę niesamowicie było w tym małym, kruchym pudełku, zawieszonym w ciemnym jak atrament powietrzu, gdzieś między niebem a ziemią, przyczem nieodłączny wiatr, konieczny zawsze w takich wypadkach nie stwarzał miłego nastroju.

Zdzisiek Brynicki powiedział to wprawdzie półgłosem, z zawodowego przyzwyczajenia. Tylko dowcipy mówił głośno i tak, żeby go słyszano. Ale w wagonie panowała taka cisza, że do każdego doszły słowa Konduktora... „nieszczęście“...

Szept wywołał nawet jeszcze gorsze wrażenie. Jakoś tak się złożyło, że wszyscy pasażerowie jechali kolejką poraz pierwszy. Jeden Karol należał do starych bywalców kolejki. To też wrażenie było. Nawet Karolowi zrobiło się trochę nieprzyjemnie. Zaśmiał się sztucznie.

— Cóż też pan opowiada, panie Zdziśku? Jakież znowu nieszczęścia?

— To pan nie wie? — szeptał w odpowiedzi Zdzisław. — Duch Gór... Jak tylko jest 16 pasażerów, to musi być katastrofa. Mała częściej, ale bywały i większe.

— Cóż pan znowu za bujdy opowiada? Ostatnia katastrofa i pierwsza jakie się zdarzyły na kolejce, to jeszcze w czasach, kiedy ją budowano i był tylko prymitywny, tymczasowy wyciąg na budulec.

— A no właśnie. To była pierwsza katastrofa. Pierwsza, ale nie ostatnia, jak pan mówi. Były i później i to jakie!? Sam byłem świadkiem. Zwłaszcza, jak się jechało wieczorem, jak jest ciemno i jak jest 16-tu pasażerów. Tak, jak dzisiaj — dodał trzęsącym się, nieopanowanym głosem. Ręce drżały mu, patrzał nieprzytomnym wzrokiem w okno, wyraźnie bał się.

Chwycił kurczowo Karola za rękaw. Zbliżył twarz do ucha i szeptał głośno:

— I w każdą wigilję Bożego Narodzania musi być katastrofa. Nie obyło się dotąd bez takiej wilji. Ja właśnie widziałem ostatnią katastrofę. Dyrekcja kolejki tuszuje. Nikt o tem nie wie. Ale ja wiem! Sam widziałem! Widziałem!!

— Niechże się pan uspokoi! Panie Zdzisku!

— Kiedy to takie było straszne. Jakby pan widział, nie mówiłby pan tak spokojnie teraz... Duło, aż się wagon huśtał. Było cicho i tak jakoś strasznie. Wtem zgasły światła i przeraźliwy świst... Każdemu tuż koło ucha... Drzwi zaryglowane otwarły się nagle i trzasły. Do wagonu wpadł wicher. Wagon szarpnął, prawie wywrócił się. Powstał wrzask niedoopisania. Mnie jakaś koszmarna ręka ujęła za szyję i poczęła dusić. Czułem, że wagon leci wdół, że rozbija sie w puch. Słychać było zgrzyt kółek, lada chwila mieliśmy się rozbić o stację na dole. Jakoś automatyczne zatrzymania zawiodły. Błysła mi myśl, że lepiej wyskoczyć. Otwarłem drzwi i skoczyłem wdół. Spadłem na polanę i nic mi się nie stało. Jeno od tego czasu okiem mi tak rusza czasem. Jednego pasażera znaleźli też na ziemi, ale zwłoki. Zimny trup. Zawsze w takiej katastrofie tylko jeden człowiek ginie. Reszta jakoś się wyliże. Ale daninę doroczną bierze zawsze sobie straszliwy Duch Gór.



Czarny Staw Gąsienicy pod Kościelcem

Brynicki dokończył strasznej opowieści już zupełnie głośno. W wagonie panowała śmiertelna cisza. Tylko tam gdzieś w przepastnej przestrzeni powietrza wył i świstał wicher. Wszystkie twarze z zaparciem tchu słuchały opowiadania górala, blade i przejęte. Jakaś pani przeżegnała się nabożnie i westchnęła: Jezus, Marja!

Rozproszyła tem jednak straszliwą ciszę. Karol nadrabiał miną:

— Ależ, panie Zdziśku, to są bajeczki dla ochraniarzy! Jak pan może przerażać tak pasażerów?

I spoglądnął na twarze zwrócone do niego, jakby w tej młodej twarzy szukały ratunku. W kącie przy drzwiach siedział poważny jegomość, ubrany w nowy widać zupełnie kostjum narciarski, „trochy po cepersku“, na dancing skrojony. Karola przykuła ta twarz, pełna lęku i przerażenia. Nerwowo drżały mu ręce, mimo, że zaciskał je kurczowo w pięść.

Zdławionym głosem zapytał się:

— Jak długo jeszcze pojedziemy?

Zdzisiek popatrzał na niego długo i dziwnie jakoś — zdawało się Karolowi.

— O! Za jakie 10 minut już tam będziemy. Teraz jest największe wzniesienie i największa przepaść.

Wtem stało sie coś niesłychanego. Nagle zgasło światło! Jak na komendę zawył przeraźliwie wicher. Wagonem straszliwie szarpnęło. Przeraźliwe wrzaski, w nieśmiertelnym strachu, nieprzytomne... Wagon zaczął się poruszać z niebywałą szybkością.

— Jezus, Marja! Spadamy s p a d a m y! SPADAMY! — wrzeszczał, piszczał krzyczał Brynicki. Odpowiedziały mu przeraźliwe, histeryczne wrzaski kobiet. Nagle przez ten rozgardjasz głosów usłyszał Karol najwyraźniej: — „Kto to? Puść!!! Ratunku! Złodziej!“

Karol zerwał się ze swego miejsca, na którem jeszcze mimo szalonych skoków wagonu utrzymywał się i rzucił się na ślepo w kierunku okrzyków. Wtem otwarły się drzwi, wiatr straszliwym rykiem przy-

gluszył wszystkie przeraźliwe głosy na chwilę. Karol dopadł kontaktu i chciał już rozświetlić wagon. Ale cichy, suchy cios w głowę pozbawił go przytomności.

Za chwilę rozbłysło światło.

Zdzisiek w potarganej kurtce stał z rewolwerem w ręce. Karol leżał na ziemi. Zdzisiek krzyknął:

Ani jednego ruchu, bo każdego zastrzelę, jak psa!

Jak w filmie amerykańskim wszystkie ręce podniosły się do góry. Zdzisiek jedną ręką przesunął dźwignię, zatrzymał wagon. Następnie ujął słuchawkę telefoniczną:

— Ratunku! Ratunku! Tutaj wagon 5-ty. Stanęliśmy w drodze. Oberwało się koło, wagon się przechylił, odpadła cała ściana! Cudem się trzymamy na małym gwoździu. Jak wiatr zaduje, to odpadnę. Wszyscy natychmiast na ratunek. Ratunku, R a t u n k u!! OOO!!

Jeszcze jedno ciało zwaliło się na leżącego na ziemi Karola.

Jakaś pani zemdlała. Trwała dziwna cisza, jakże odmienna od poprzedniej. Przerażenie prysło. Jak się ratować.

Za chwilę Brynicki krzyknął:

— No dalej w drogę. Żebyście mogli się swobodnie wyspać na Kasprowym.

I puścił w ruch maszynę. Wagon ciągnął dalej w górę. —

— Tak — proszę państwa, właściwie to katastrofy z winy kolejki się nie zdażają. To 100% pewności. Chyba, że musi się łapać takiego co ma dużo pieniędzy. Wiecie kto to był ten pan przy drzwiach? Bankier. Wziął nieswoje pieniądze ze swojego banku i chciał przez góry zjechać na czeską stronę. Miałem go sam przeprowadzić. Więc spuścić, spuściłem go z Kasprowego na czeską stronę na dół przed chwilą, a do Czech i dalej to chyba sam zjadę. Ha! ha! ha! A teraz uwaga! Uważać co powiem: jak mi, który z was wyjdzie z wozu zaraz za mną, to mu poślę stąd piguleczkę. Zresztą i tak jeździć nie umiecie! — machnął pogardliwie ręką. — A ten — wskazał na Karola — nie prędko będzie mógł jeździć.

Dojechali do Kasprowego. Wóz wsunął się na stację i stanął. Zdzisiek wyskoczył szybko z wozu i zginął. — Na stacji była tylko gospodyni ze służącą. Reszta ludzi zaalarmowana telefonem z wozu, pobiegła na ratunek ponoć rozbitemu wózkowi. W jakąś godzinę potem kilkunastu ludzi z pochodniami usiłowało iść śladami Zdzisława. Parę kroków za schroniskiem chwyciła ich taka kurniawa, że zawrócili.

Przy końcu lutego tego roku znaleziono zwłoki Brynickiego w Cichej Dolinie. Miał schowane na piersiach 50.000 dolarów. Nie uciekł z niemi. Zatrzymał go Duch-Gór. Mściwy, straszliwy **Duch-Gór.**

FORTEPIAN W HANDLU

Obroty w handlu fortepianowem, które spadły obecnie do 1/3 obrotów z r. 1929 przedstawiają się nie bardzo korzystnie. Wielka obniżka cen rynkowych tego artykułu, jakoteż masowe wyzbywanie się fortepianów przez prywatnych posiadaczy, oraz nieuczciwa konkurencja t. zw. pokątnych handlarzy, bardzo dotkliwie odbiły się na składownikach. Dość wspomnieć, że w latach wzrastającego kryzysu 1933—34, składy fortepianów pracowały wysoce deficytowo na skutek nagłej obniżki cen rynkowych i spadku dolara. To niespodziewane i prawie jednoczesne wystąpienie obu tych czynników razem, oraz ogólne zaniedbanie muzyki zastąpionej przez radjo, sparaliżowały nieomal cały handel fortepianowy, wprowadzając ogólną dezorjentację i nie dając możności przeciwdziałania, lub środków samoobrony. Trudno było przewidzieć, że jedynie ucieczka przed towarem to jest wyzbywanie się go po cenach „ile dają“, mogły dać wówczas pewne zyski osiągając jeszcze ceny, z których dziś z pewnością osiągnąć się nie da.

Dzisiejszy handel fortepianowy, którego obroty stanowi w 80 % sprzedaż instrumentów okazyjnych, cierpi na ogromne braki racjonalnych kredytów bankowych, nisko oprocentowanych, któreby dały możność zdobycia taniego towaru okazyjnego. Również nieuczciwa konkurencja licznie zgrupowanych pokątnych handlarzy, zmniejsza obroty i odbiera ewentualne zyski składownikom, pozbawiając równocześnie pewnych dochodów Skarb Państwa (dziwne że I-szy Urząd Skarbowy w Krakowie, który wie o tych, dotychczas niezareagował) i oszukując często nabywcę, sprzedając instrument drożej ponad połowę jego faktycznej wartości. Znany jest nam fakt, gdzie jeden fortepian został sprzedany trzy razy, zanim zakupił go jeden z pianistów krakowskich, który dopiero potem, gdy dowiedział się za ile go mógł kupić od pierwszego sprzedawcy i po porównaniu cen u składowników, przekonał się o nadpłaconej róznicy, za którą mógłby nieomal nabyć drugi taki fortepian. Oto są owoce „nadzwyczajnych okazyj“, na które z taką ochotą leci dzisiejsza publiczność, nie zdając sobie sprawy, że czekają na nich ci, którzy jak się to mówi „szukają frajera“.

Czujemy się zatem w obowiązku podnieść apel, aby odpowiednie władze i urzędy wglądnęły w te sprawy i ukarały odpowiednio niebezpiecznych szkodników, oraz ostrzec P. T. Publiczność przed tego rodzaju zakupem.

Reasumując powyższe dochodzimy do wniosku, że obecna niejasna i niekorzystna sytuacja w handlu fortepianowym wymaga stanowczo przeprowadzenia czystki i czujnej opieki władz, by chronić go przed ewentualnym dalszym upadkiem.

Fem.

GRUDKA BŁOTA

(NOWELKA)

Wojnar nie szedl dzisiaj tak, jak zwykle. Nogi mu jakoś dziwnie ciążyły, krok zdawał mu się krótki i nie czując się jeszcze zmęczony — nie czuł się pewny. Jak zwykle nie prowadził — trzymał się jednak uparcie czolowej grupy. Uparcie... Tak! Bo to już nie był ten dawny, wielki Wojnar, który niegdyś bez trudu dublował najlepszych w kraju, któremu zagraniczne bieżnie przynosily tyle wielkich chwil zwycięstwa, to nie był już ten Wojnar, niedościgniony rekordzista wszystkich dystansów od 1500 — 10.000 m. Niejeden raz już odczuł gorycz pokonanego mistrza, nie jeden raz składał gratulacje swemu zwycięscy... Wiedział już co to znaczy czuć zbliżającego się przeciwnika, iść z nim chwilę ramię w ramię i wreszcie zobaczyć przed sobą uciekającego i nie móc za nim podążyć. Wiedział już co to znaczy, jakimś gigantycznym wysilkiem rozpaczy — woli, wprawić nogi w szybszy ruch, wpaść w dłuższy krok... i nie posuwać się szybciej. Przegrywał często! Przegrał już dwa ostatnie mistrzostwa Polski, paru biegaczy chlubilo się już zwycięstwem nad nim, a Woźma, Salwiński, a może i Schöchter i Łękawa byli od niego zdecydowanie lepsi. A zwlaszcza Woźma, wspaniały talent, lepszy jest od niego nawet z tych czasów, kiedy byl w najlepszej formie!

Wojnar się już „skończył“! — taka była opinja publiczna, a i on wiedział już o tem, nie miał jednak dość siły, aby wycofać się z czynnego życia sportowego. Od trzech lat opowiadał, bębnił, wszerz i wzdłuż, wszyscy corocznie w zimie dowiadywali się, że on, mistrz, zwycięsca olimpijski nie będzie już więcej biegał. A gdy się przedzieraly do prasy wiadomości, że jednak trenuje — to tylko dla własnej satysfakcji i zdrowia — odpowiadał na liczne pytania.

I wierzyl w to święcie, sam sobie przyrzekal i postanawiał.

Cóż, kiedy jednak pierwszy błysk rewolweru startowego wypuścił sforę zawodników, którzy radosnym wysilkiem swoich młodych, gibkich mięśni, tytanicznych serc i pluc, ruszyli w krainę sławy — i on — Wojnar — znalazł się wśród nich wbrew zapowiedziom, wywiadom i przedewszystkiem przyrzeczeniom samemu sobie skladanym.

Ta jego zaciętości pewna, slawna w świecie sportowym silna wola, która była w stanie z kompletnie już wyczerpanego i bezsilnego na pozór ciala wykrzesać sił tyle na finish, przed którym potęgi świata chyliły głowy, ta wola teraz zawiodła, zostala pokonana.

Została pokonana przez ową wielką, szlachetną namiętność: przez wielkie umiłowanie sportu, przez nieugaszone nigdy pragnienie walki, która znalazła swój wyraz u niego w tej formie, przez przyzwyczajenie, przez fizjologiczną wreszcie konieczność ruchu, która włada każdym.

Kiedy pierwszy raz uslyszał o owych zawodach powiedział:

— To będą pierwsze zawody — bezemnie!

Dziwny jakiś niepokój ogarnął go i stopniował — aż wreszcie go zwyciężył.

Jak duży miły dzieciak, kiedy przed zawodami pakował swój kostjum, mówił — a raczej oklamywał samego siebie:

Biorę to tylko, w razie gdyby któryś z kolegów klubowych zapomniał. I od tego czasu znowu regularnie startował, nieraz jeszcze triumfował, coraz częściej jednak spadały nań klęski.

— — — — — — — — — —

Dzisiaj szedł na start już bez ambicji, bez nadziei, raczej z przyzwyczajenia, raczej z pewnością, że już i tak nie oprze się swojej namiętności! Jak zgrzybialy starzec, który zmuszony koniecznością, niechętnie za kord ima, co mu niegdyś tyle sławy przysporzył, aby się dopiero w walce rozgrzać i młode przypomnieć lata...

Zrezygnowany przyszedł i smutny! Nawet fizycznie czul się źle! Już nikt się dzisiaj z nim nie liczył! Ludzie tak prędko zapominają. Nikt go już dziś nie pamięta, jego, Wojnara, zwycięzcy olimpijskiego, którego imię bylo swojego czasu na ustach swiata!

Pamięta swój pierwszy wielki triumf, kiedy to jako pierwszy Polak osiągnął poniżej 14 minut na 5.000 m. Ileż wtedy depesz otrzymał, ileż życzeń! Los się do niego uśmiechal — i sława. Osiągnął wtedy 13:59.1. W ciągu swojej karjery kilka razy obniżył ten rekord aż do 13:54.4. Dwa razy jeszcze osiągnął lepsze czasy, ale z powodu jakichś drobnostek nie zatwierdzili ich. Byly to jego jedyne niepowodzenia w powodzeniu! A później — największy jego triumf zwycięstwo olimpijskie. Prawda! Miał wtedy trochę szczęścia. Wielki Fin nie startował, drugi Finlandczyk, — świetny Endeavour zwichnął nogę w przedbiegu stipple-chasse. No ale tego zarozumiałego, butnego niemiaszka sumiennie nawalił i to z niemałym wysilkiem. Wszak musial „tor“ 20 metrowy Niemca nadrobić swoim, słabym wtedy finishem. Ale wygrał, zwyciężył, co za triumf!

I przypomniał mu rzeczywistość brutalny głos megafonu, który dzięki ustawionym w szatni rozgłośnikom doszedł go:

— Zawodnicy do biegu na pięć tysięcy metrów są proszeni na start. W biegu tym Woźma (K. S. C.)



Sport w zimie

będzie usiłował poprawić swój dotychczasowy rekord, który wynosi 13.52.

Brutalny megafon! Tak piękne przerwał Wojnarowi marzenia. I jeszcze ten Woźma! Chociaż właśnie lubił go. Porządny, skromny, miły chłopak! A przytem naprawdę wielki talent.

— Godnego mam następcę! powiedział prawie głośno. I znowu zamyślił się — jakoś się mu nie spieszyło na start. Jakby to ładnie było — marzył — gdyby tak dzisiaj zamiast Woźmy on wygrał bieg, on nabił rekord... Nie śmiał myśleć o tem, gdzieś jednak w tajnikach jego duszy zapłonęła nadzieja. A może mu się uda. Może pójść przecież znowu tuż za nim, może się mu utrzymać „na kółku" a później finish — i zwycięstwo! Tylko musiałby krzyknąć mu ktoś... Bez tego nigdy nie mógł się zerwać do finishu.

— Staszek! Choćże już na start — wpadł do szatni Karolus, jego uczeń i wychowanek, który nieraz już zwyciężył mistrza.

— Mam do ciebie prośbę, Staszek — mówił Karolus, kiedy wychodzili na boisko. — Wylosowali ci świetne miejsce na starcie, a ja mam strasznie podłe. Może się ze mną zamienisz! I tak przecie nic nie zrobisz! Co ci się stało — przystanął i spytał zdziwiony.

— Nic, nic — odrzekł Wojnar — jakoś się dzisiaj słabo czuję. Ależ oczywiście! Stań na mojem miejscu.

— — — — — — — — — —

A kiedy padły pierwsze słowa komendy: „na miejsca" na ogorzałym obliczu Wojnara, jakimś rozjaśnionym i szczęśliwym, jak zupełnie niestosowny gość, pojawiła się wielka łza?...

„Gotowi" — i... Strzał!

— — — — — — — — — —

Wojnar nie szedł dzisiaj tak, jak zwykle. Na pierwszych rundach czuł się fatalnie. Jakiś war, spiekota dziwna spalała mu usta, oddech zdał mu się zatruty. Głowę miał jakby otoczoną żelazną obręczą,

która się coraz bardziej zaciskała. Mimo to szedł w pierwszej grupie, w której zwartą falą szli krok w krok Salwiński, Karolus, Łękawa, Schöchter, Woźma i on. Woźma szedł tuż przed Wojnarem, a on nie mógł wpaść w jego miękki posuwisty krok. Po trzeciej dopiero rundzie wpadł w tempo Woźmy i odrazu inaczej się czuł. Znów szedł lekkim, długim krokiem, który do centimetra zgadzał się z krokiem wielkiego Woźmy. Wojnar uradował się tem niezmiernie. Wiedział, że teraz długo już pójdzie tak za nim i niełatwo się będzie Woźmie odczepić od niego.

Zaczął więc monotonnie, bezmyślnie biec, wpatrzony w plecy Woźmy, których rytmiczny ruch wprawiał w wężowe sploty biało-czerwone pasy koszulki. Ta koszulka w biało-czerwone pasy, ten płynny ruch bioder, sposób trzymania odsuniętych nieco od tułowia ramion, coś bardzo żywo przypominało Wojnarowi, i to coś z bardzo odległej przeszłości! Ha! Wie już teraz — pamięta. To jego pierwszy bieg, jego pierwsze zwycięstwo, jego debiut. Przed laty, laty w Warszawie. Jakieś wielkie zawody „Warszawianki", na których kulminacyjnym punktem miał być bieg na 5.000 m, do którego startował poraz pierwszy po triumfalnym pochodzie w Ameryce — największy biegacz polski tych czasów — Janusz Kusociński. Wojnar, nieznany wtedy nikomu, przyjechał do stolicy się uczyć.

Pamięta, ileż on przecierpiał wtedy przed startem!

Jak długo obmyślał taktykę, która, mówiąc nawiasem, zawsze została w sferze planów. Kiedy po starcie ruszyli, kurczowo trzymał się myśli: zawsze za Kusocińskim! Tuż. I tak też biegł. Tak, jak i teraz za Woźmą. Tak samo wpadł w jego długi krok. Co? 5-ta runda. Prawda, tam, tuż przed krzywizną wysunęli się z Kusocińskim na czoło.

— Woźma! pociąg! — wyjdź naprzód! — rozkazująco krzyknął Wojnar.

I Woźma, jak posłuszny dzieciak tuż przed wirażem wysunął się na czoło biegu, pociągając za sobą nieodłączny cień — Wojnara.

— Tak, jak wtedy — pomyślał spokojnie Wojnar i jakaś nagła radość w porywie nadziei ogarnęła go i nie opuszczała.

Wiedział teraz, miał pewność, że jeżeli wszystko pójdzie tak jak wtedy, wygra, zwycięży... I może rozpocznie się era jego świetności.

I oto biało-czerwone koszulki Woźmy takie mu się zdały kochane, drogie. Chętnieby ręką powiódł po nich w jakiejś cichej, radosnej pieszczocie wdzięczności...

I oto zobaczył wysoko na plecach, w pobliżu dolnego kąta lewej łopatki grudkę błota!

Taką małą niepozorną grudkę błota! Właśnie na samej granicy pasów czerwonego i białego!

I nowa fala radości zalała go, opętał go jakiś dziki szał zadowolenia! Kochana grudka błota! Najdroższa! Najmilsza! Ha! Była mu w tej chwili stokroć droższa, niż jego życie, niż Maryśka, niż wszystko! Mało nie krzyknął z radości. Wiecie: on Kusociński miał wtedy taką samą grudkę błota! I tak samo drżała mu przed oczyma w czasie biegu, tak samo wpatrywał się w nią i nawet ostatni raz, kiedy w sprincie mijał przeciwnika, widział na plecach tę małą drobną grudkę błota!

— O moja wielka, święta gwiazdo przewodnia — prowadź mię do zwycięstwa! — modlił się.

I jak na kochankę, wciąż wpatrywał się w nią.

I oto rosła, olbrzymiała owa wielka grudka! Nie widział nic, ani boiska, ani bieżni, ani współzawodników, widział tylko tę grudkę błota! Nawet postać Woźmy przestała dla niego istnieć w biało-czerwone pasy koszulka. Nie czuł zmęczenia, nie wiedział prawie, że biegnie, wiedział tylko jedno: zwycięży! Ta mała grudka błota da mu zwycięstwo, sławę, wszystko co stracił!

I naraz boleść wszystkich jego ostatnich klęsk i niepowodzeń, które napozór z taką obojętnością znosił, a które w rzeczywistości potęgą silnej woli spychał gdzieś na dno duszy, przerwała owe tamy woli jego i nieokiełzanie wdarłszy się opanowała serce...

Zaskowyczał niemal z bólu i wielką ulgę znalazł dopiero w widoku „jego" grudki błota! I tem bardziej postanowił wygrać.

Musi! Musi! Choćby miał trupem paść.

Musi! Musi! Musi wygrać—pokazać im wszystkim, kto to jest on! On! ON!

I nagle zadrżał. Boże gdyby ta mała grudka, mała szara wysuszona już grudka błota wykruszyła się. Nie, to niemożliwe. Silnie, silnie się trzyma — i znowu zobaczył wtedy biało czerwone pasy koszulki, znowu zobaczył wyniosłą postać Woźmy, który spokojnym i równym krokiem biegł przed nim.

Oglądnął się: trzydzieści metrów za sobą biegł zmęczony Salwiński.

— Dorze jest! — stwierdził z zadowoleniem.

Nie było jednak tak dobrze jak myślał. Zwaliło się nagle na niego olbrzymie zmęczenie. Ołowiane nogi nie chciały jakoś oderwać się od ziemi! W piersiach czuł znów ten jakiś dziwny, straszny war, który nieznośnie mu dokuczał.

Uśmiechnął się jednak do siebie! Nie takie zwalczał zmęczenie! Wiedział, że gdy tylko usłyszał ryk publiczności, znalazłby jeszcze dość siły na finish! I to na jaki finish!

Po rundzie jednej zaniepokoił się przebiegł ją już z trudnością. Woźma już parę razy oddalił się od niego o parę metrów. Musiał go ostatkiem sił dochodzić.

Poczuł się jakiś nieswój! To nie takie zwykłe

zmęczenie. Ciężko mu nawet było podnieść opuszczoną głowę, aby popatrzeć na grudkę błota.

To właściwie taka mała grudka! Wszak to taka duża, wielka grudka. Olbrzymia, całe plecy mu zasłania! Boże! Przecież ona gotowa zastawić mi bieżnię całą, a on niema już tyle siły aby się przebić przez nią do taśmy!...

Otrząsnął się. Spogląda bardziej przytomnie. Zdaje się, że to już dzwonki! Tak! Ostatnia runda. Boże! Jeszcze takie długie, długie 400 m. Żeby tylko tam przed wirażem stał Bolek! Żeby mu krzyknął, żeby mógł zafinishować! Ha! Stoi jest!...

Słyszę! Słyszę! — Już ostatni wysiłek — sprint... Woźma! Minięty! Uciec mu jeszcze! jeszcze! jeszcze. No! już nie dojdzie! Jest pewny pierwszy! Boże! Co to taśmy niema! Durnie! Co za organizacja. Widzicie! To ja — Wojnar!!!

I cały stadjon zdumiał się...

— — — — — — — — — —

Dopiero po kilku miesiącach, już w okresie rekonwalescencji wyszperał Wojnar odpowiedni dziennik. Wielkiemi literami: Nowy, wspaniały triumf Woźmy — czas 13.45.8. A podtytuł brzmiał: Sensacyjny bieg. Stary mistrz — Wojnar finishuje o trzy rundy za wczas — i pada zemdlony.

Z życia artystycznego Krakowa

Wystawa w Pałacu Sztuki

Dyrekcja Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie rozwija wiele nergji i zapobiegliwości w urządzaniu wystaw w swym gmachu przy pl. Szczepańskim, tzw. Pałacu Sztuki. Biorą w nich udział artyści—plastycy nietylko z Krakowa, ale ze wszystkich ważniejszych ośrodków artystycznych Polski, bez względu na wyznawane kierunki i hasła artystyczne. Przez to publiczność może się zapoznać z różnemi rodzajami twórczości malarskiej, opartej nieraz na odmiennych, a nawet wprost przeciwnych założeniach programowych autorów oglądanych eksponatów.

Wystawy zmieniają się co miesiąc.

Na grudniową wystawę składają się: wystawa pośmiertna **Artura Markowicza**, obejmująca kilkadziesiąt najlepszych prac tego artysty, zmarłego ubiegłego roku jesienią; dalej oglądamy wystawę zbiorową **Romana Łysakowskiego**, kolekcję prac graficznych **Stanisława Jakubowskiego** i artysty lwowskiego **F. M. Wygrzywalskiego**, obejmującą kilkanaście obrazów olejnych o tematach wschodnich. Bogatą jest wreszcie, jak zawsze, wystawa bieżąca, zwana także ogólną.

Obrazy **Artura Markowicza** posiadają trwałą wartość artystyczną, bo poza poprawną formą i interesującemi zestawieniami kolorystycznemi, posiadają interesujący temat, a tym jest odtworzenie życia egzotycznego gheta żydowskiego. Artysta życie to odczuwa, rozumie, przejmuje się niem i prawdą artystyczną w swych licznych obrazach z talentem odtwarza. Z rodzajowych tych obrazów wyłania się dusza ludu żydowskiego, skłonna do kontemplacyjnej zadumy, zawiłych dociekań talmudystycznych; oglądamy w nich zwykłe codzienne kłopoty, troski, nawet tragizmy szarego tłumu żydowskiego, a także okolicznościowe zabawy, radości i jego wesela. **Markowicz** odtworzył ten cały świat jak mało który z żydowskich artystów w Polsce z umiarem artystycznym, z rzewnym liryzmem i szczerym sentymentalizmem. Stąd pochodzi ich wielka popularność. Artysta malował przeważnie pastelą, choć w jego bogatym dorobku nie brak i prac olejnych, a to portretów i pejzaży. Oto dla orjentacji czytelnika dla przykładu podaję kilka tytułów wystawionych na wystawie obrazów. „Przerwana struna", „Naprawa sieci", „Szachiści", „Imieniny babci", „Na jarmarku", „Rozwód", „Młodzi uczeni", „Uczelnia", „Wykład", „Modlitwa w Sądny Dzień" i t. p. Trwała wartość artystyczna tych obrazów leży głównie w ich podłożu ideowem wypowiedzianem z indywidualnym wyrazem artystycznym, przy skromności i prostocie środków samego tworzywa malarskiego.

Łysakowski Roman, który wystąpił ze biorową wystawą, interesuje się zarówno aktem, pejzażem, jak portretem i t. zw. martwą naturą. Założeniem jego sztuki jest poważny wysiłek wyrażenia swego światopoglądu artystycznego zapomocą tych podstawowych problemów malarskich. Jego akt, zatytułowany „Przed lustrem", poprawny w rysunku, ma miłe zestawienia kolorystyczne i jest dobrym zadatkiem dla dalszej pracy artysty.

Wygrzywalski, znany malarz lwowski, lubuje się w tematach wschodnich i odtwarza je swoistą fakturą. Jest on bezwątpienia dobrym rysownikiem i wyczuwa się u niego łatwość malowania. Koloryt jednak jego obrazów jest nieprzyjemny, oparty na łatwych, banalnych efektach, które się stale powtarzają. Mimo zatem bogactwa pomysłów tematowych, z prac tego artysty wieje ubóstwo, a raczej brak zupełny zainteresowań wobec istotnych problemów malarskich, barwy i światła, które decydują w pierwszym rzędzie o wartości artystycznej obrazu.

Grafika **Jakubowskiego Stanisława** jest, jak zawsze, doskonałą technicznie i pełna wyrazu plastycznego. Uzdolniony ten artysta z zamiłowaniem uprawia wszelkie niemal techniki graficzne, jak drzeworyt, kwasoryt, aquatintę, suchoryt i t. p., wprowadzając także umiejętnie we wszystkie te rodzaje grafiki dopełnienie formy kolorem. Obok zabytków architektonicznych starego Krakowa i motywów ze wsi polskiej, artysta chętnie sięga tematowo do klechd i podań ludowych i do mitów starosłowiańskich. Szczerym sentymentem i naiwnym urokiem owiane są takie np. kompozycje jak „Ucieczka do Egiptu“, „Król Kruk i Królewna Rybka“.

Wystawa bieżąca obejmuje kilkadziesiąt obrazów różnych artystów, dających widzom barwną mozaikę różnych poczynań i wysiłków artystycznych. Trudno je wszystkie wyliczać. Przykładowo wymienię tylko niektóre. I tak: **Borysławski Stanisław** wystawił dobrze skomponowane martwe natury i pejzaże, w których rozwiązuje problemy malarskie, osiągając piękne rezultaty. Artystycznie zbliżony jest do niego **Matuszczak Edward,** który transponuje z dynamiczną siłą widzianą rzeczywistość na swój język artystyczny („Port rybacki na Helu“, „Rybacy przy pracy“). **Grott Teodor** w efektownych akwarelowych pejzażach włoskich wydobywa akcenty gorącego słońca południowego, **Karszmiewicz Jerzy** i **Paciorek Stanisław** odtwarzają szczerze i z wyczuciem nastrój wsi polskiej, **Schönker Leon** daje wartościowe portrety, śmiało konstruowane i malowane z wyczuciem plamy kolorystycznej. **Terlecki Alfred** po dłuższem niewystawianiu w gmachu Towarzystwa, przypomniał się naszej publiczności z kulturą namalowanemi pejzażami na tematy tatrzańskie i z nad Polskiego Morza. Mimo różne tematy mają te piękne obrazy te same wartościowe akcenty pogodnego i słonecznego nastroju, są sharmonizowane kolorystycznie i są dobrze w całości skomponowane z gradacją pierwszych, drugich i następnych planów. Jak wiadomo świetny ten malarz, rozwija nader owocną działalność pedagogiczną, prowadząc w Krakowie z najlepszemi rezultatami własną szkołę malarską. Piękny debiut na wystawie należy zanotować **Chomicza Witolda** dwoma obrazami pt. „Pan Twardowski“ i „Portret Zakonnika“. Pierwszy obraz to panneau dekoracyjne, osnute na kanwie popularnej legendy krakowskiej. Odznacza się ono wyczuciem tematu, syntezą formy i piękną, uproszczoną harmonją kolorystyczną oraz dekoracyjnemi zaletami, przy interesującem podaniu tła, które stanowi skrót architektoniczny całości średniowiecznego Krakowa. „Portret Zakonnika“ jest dobrze skomponowany według pewnych założeń formalnych.

Ponadto wystawiają: **Boba Aleksander** (pejzaże), **Dzieliński Kazimierz** (martwa natura), **Filipkiewicz Mieczysław, Fusek Władysław, Getter Stanisław, Gasiorowski Zygmunt, Hochman Henryk** (rzeźba), **Hufnaglówna Gizela, Janowski Stanisław, Kaluski Zygmunt, Kaniakowa Stefanja, Kenerówna Henryka** (majolika), **Kędzierski Apolonjusz, Kitz Marcin, Kowalski Leon** (olejne pejzaże z kulturą i smakiem artystycznym podane), **Krasnowolski Józef, Książek Jan, Małachowski S., Mróz Tadeusz, Oracki Mieczysław** (dobre pejzaże i portrety), **Orwicz Stefan, Podgórski Stanisław, Policht Henryk, Przebindowski Zdzisław, Rychter Janowska** i inni.

Dr. S. M. Mazurkiewicz



Reprodukcja obrazu znakomitego naszego malarza Vlastimila Hofmana p. t. „Madonna Busowiska“, który na inauguracyjnem otwarciu salonu jesiennego w krakowskim Pałacu Sztuki zwrócił powszechne zainteresowanie.

Wystawa najmłodszego malarstwa

Z serdeczną radością należy powitać zgrupowanie się naszych młodych awangardzistów w malarstwie, celem stałego wystawiania swych prac i systematycznego zapoznawania z niemi naszej publiczności naogół nieufnej wobec wszelkich poczynań, które wykuwają nowe zagadnienia w sztuce. Drugą już z rzędu wystawę swych prac urządzili młodzi artyści — na razie — w Cafè „Cyganerja“ przy ul. Szpitalnej. Wystawiają: **Borysowski Stanisław, Gąsiorowski Zygmunt, Haar-Springer Poli, Jarosz-Gostwicki Zbigniew, Majcher Alojzy, Marczyński Adam, Matuszczak Edward i Waniek Eugenjusz.**

Obrazy, jakie na wystawie oglądamy, to pejzaże ze wszystkich zakątków Polski studja figuralne, obrazy rodzajowe, t. zw. martwe natury etc., oraz grafika. Ich autorzy mają wyraźnie na względzie istotne problemy malarskie: barwy i światła i dążą do plastycznego zespolenia myśli z kształtem i kolorem. W swem „credo“ artystycznem akcentują dążność do wywolania estetycznego wzruszenia u widza przez takie skomponowanie płaszczyzny, gdzie formy są silnie zależne od siebie i gdzie każdy centymetr obrazu ma odpowiednią wagę artystyczną. Interpretują (starają się interpertować) indywidualnie rzeczywistość życia. Przetrawiają naturę na własną gamę kolorystyczną i kolor kładą dla samego koloru, niedbając o żadne uboczne cele. Nie gardzą i prostą kreską, która w dynamice płaszczyzny odgrywa nie poślednią rolę. Wierzą w to, że formy, pokryte kolorem, (nie kolorkiem) zgrane dynamicznie, wywołują (powinny wywoływać) równorzędne wzruszenie estetyczne, w sharmonizowany dźwięk. Te mniej więcej hasła wypowiadają wystawiający młodzi malarze, których łączą pokrewieństwa założeń artystycznych, choć nie tworzą żadnej zamkniętej grupy.

Dr. S. M. Mazurkiewicz

Co słychać z Operą Krakowską ?

Opinja publiczna naszego miasta domaga się stanowczo wznowienia przedstawień operowych w Teatrze Miejskim im. J. Słowackiego. Nie wiadomo dlaczego w repertuarze teatralnym na rok 1935/36 nie uwzględniono dotąd przedstawień operowych, do których publiczność krakowska się przyzwyczaiła. Jak wiadomo Opera Krakowska stała na odpowiednim poziomie, tak pod względem solistów jak i zespołów i z powodzeniem kultywowała repertuar oper polskich i najwybitniejszych oper zagranicznych. — Nie widzimy zatem żadnego słusznego powodu, ażeby pozbawiać artystów możności występów, a publiczność dobrej muzyki i śpiewu. Wiadomo przecież ogólnie, że nawet teatry prowincjonalne dają sporadycznie przedstawienia operowe. Wypowiadamy zatem apel pod adresem miarodajnych czynników miejskich „nie zatracajmy placówki artystycznej, która jest pożyteczną dla miasta i reprezentatywą dla kultury muzycznej w Polsce“.

Wieczór tańca Duszy Bürstenbinder

W sobotę dnia 14 grudnia br. odbył się w Sali Saskiej wieczór tańca znanej już na terenie Krakowa p. Duszy Bürstenbinder. Niejednokrotnie dała nam dowód wielkiego zapału, poważnych dążeń do udoskonalenia swej sztuki i każdy nowy jej występ świadczy o postępach. Jednakowoż coraz więcej da się stwierdzić, iż p. Bürstenbinder jest lepszym o wiele pedagogiem, niż wykonawczynią. Numery opracowane przez nią dla grupy uczenic są na wyższym poziomie, niż te, które sama dla siebie komponuje. I tak pierwsza część programu była dużo lepsza od drugiej. Bardzo dobre było „Studjum“; dwie grupy o kontrastowej dynamice. „Marjonetki salzburskie“ ogromnie się podobały. „Baba Jaga“, oraz „Błazen i maska“ miały bardzo dobre chwile, lecz nieraz zbyt nerwowe ruchy psuły całość. O tę właśnie całość w kilku innych numerach powinna zdaniem naszem, jeszcze więcej dbać p. Bürstenbinder i unikać wplatania kilku odrębnych stylów do jednej kompozycji.

Ewil.

Z sali koncertowej

Koncert symfoniczny Filharmonji Krakowskiej

W niedzielę dn. 15. grudnia br. odbył się w sali Starego Teatru koncert symfoniczny **Filharmonji Krakowskiej** pod batutą **Dyr. Bolesława Wallek-Walewskiego**. W programie wykonano: **Pfitznera** Uwerturę do baśni dramatycznej p. t. „Wieszczka Bożego Narodzenia", **Löwensteina** symfoniczną balladę p. t. „Tatry" i **Wallek-Walewskiego** Oratorjum na sola, chóry i orkiestrę p. t. „Apokalipsa".

Dwa pierwsze utwory obcych kompozytorów nie odpowiadały naogół wartością swą artystyczną powadze koncertów, jakie w ciągu jednorocznego istnienia Filharmonji Krakowskiej mieliśmy sposobność usłyszeć. Są one niemal bez głębszych wartości muzycznych i tylko dzięki wysiłkom dyrygenta i sprawności orkiestry, złożonej z wytrawnych i świetnych muzyków, wysłuchano ich wykonania cierpliwie i z pobłażaniem. Pierwszy utwór, związany tematowo ze świętami Bożego Narodzenia nie przypomina w niczem swemi motywami kolendowego czy pastoralkowego nastroju, ustępuje swą słabością innym tego rodzaju utworom (np. Liszta) i nie daje nam słuchowo zadowolenia estetycznego, podobnie jak „Tatry" **Löwensteina**, które nie mają charakteru tatrzańskiego i nie wytrzymują porównania z taką np. nieśmiertelną kompozycją **Władysława Żeleńskiego** o tym samem tytule, w której wyczuwamy i słyszymy przejawy jasnego i prymitywnego życia ludu góralskiego na halach.

Po przerwie wysłuchaliśmy mistrzowskie dzieło **Dyr. Bol. Wallek-Walewskiego,** jednego z czołowych muzyków polskich, p. t. „Apokalipsa", które jest muzyczną ilustracją tekstu z „Księgi Objawienia" św. Jana w tłumaczeniu Ks. J. Wujka. Jest to utwór napisany z ogromnym rozmachem twórczym, w którym nie brak akcentów w stylu dobrze pojętej muzyki nowoczesnej. Wnosi on trwałe wartości artystyczne do muzyki polskiej i powiększa o jedną jeszcze cenną pozycję bogaty dorobek twórczy znakomitego kompozytora krakowskiego.

W całości wykonania dawała się zauważyć nieproporcjonalnie mała obsada chórów (Tow. Muzycznego i „Echa") w stosunku do zespołu orkiestralnego. Liczny udział solistów głosowo i pod względem dykcji pozostawiał wiele do życzenia. Jedynie Zbysław Woźniak, art. oper. tenor, wykonawca św. Jana partji głównej, wywiązał się doskonale ze swego zadania dzięki korzystnym walorom swego głosu, wybitnej muzykalności i zdolności interpretacyjnej.

Nad całością panował doświadczony dyrygent, jakim jest autor. Wykonanie tego wysoce wartościowego utworu zrobiło imponujące wrażenie na publiczności, która niestety, zjawiła się na koncercie bardzo nielicznie. Koncert ten był transmitowany przez Rozgłośnię Krakowską.

Mi.



Rymowane zagadki

Gdzie popatrzę po świecie i gdzie się obrócę,
każdy się nisko kłania i wyszepta: Duce!
Inny powie „Genjuszu”, inny zasię: „boże”!
ja też mówię do siebie: „Ty wielki aktorze”.

(Mussolini)

Parę lat już temu,
kiedym była młodsza,
trenowałam dyskiem,
robiłam co potrza!

Parę lat już temu,
każdego w proch starłabym,
miałem Konopakę
i tekę, dwa skarby!

Teraz bez potrzeby,
pracujem zażarcie,
Ja w „Gazecie Polskiej”,
Ona znowu w „Starcie”!

(Matuszewscy)

(W rozmowie ze swoim imiennikiem)
Ty masz serce ze spiżu, a ja mam z litości,
Ciebie każdy wysłucha, a na mnie się złości.
Tyś jest wielki, Zygmuncie, i wiekami podszyt
a ja jestem też Zygmunt, tylko trochę młodszy,
Twój głos słychać od morza, aż po Tater świerki
a mój może i dalej: gdzie dotrą Kurjerki.
Gdy Ty bijesz, w narodzie budzi się myśl szczersza
gdy ja czasem uderzę, obcinają od wiersza.
Ty już od wieku wieków, dzwonisz nad Krakowem
i bez żadnej nagrody, a ja mam połowę!

Muszę iść już, choć miło czas schodzi w rozmowie
muszę uczyć się roli i ratować Cracovię.
Cracovia za A klasę przypina mi żeton,
a o roli w „Chimerze” napiszę feljeton.

(Nowakowski).

Artykuły straszliwe, wciąż się o tem głowią,
że niby moje „Zmory“ Polskę zega-dłowią,
Lecz wszyscy żałują, w duszy swojej skryci,
że do mojej powieści nie wstawiłem rycin!

(Zegadłowicz)

Gdy stracilim posady, wszyscy krzycą zuchwale,
chcieliby już nas zagryźć i nawłóczyć na PALe,
ale my się nie damy, przetrzymamy te sztormy,
a pomnik nasz zostanie: wyczuwane reformy.

(Jędrzejewicze)

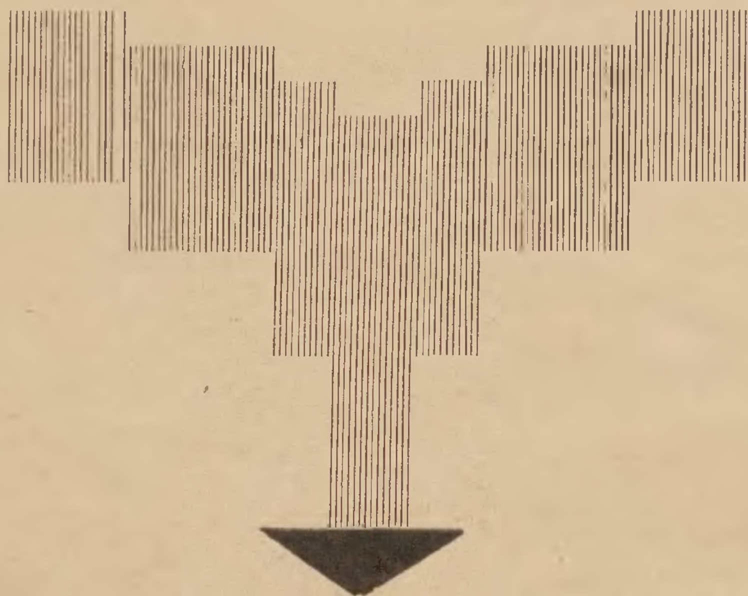
Medycyna na wietrze,
gdy narobiła wiatru,
niepotrzebnie zacząłem
pisać znowu dla teatru.
Wtedy właśnie za radą
paru losu wybrańców,
zamiast pisać coś, szczęścia
rozpocząłem łańcuch.

(Choromański)

Kamienice
i ulice,
biura wszystkie,
stenopistki,
wszystkie parki,
i kucharki,
pensjonarki,
w szkole, w biurze,
i w mundurze,
szkolny kulig,
i Cyrulik,
w kryminale,
nawet w PALe,
magnifice,
gdy ślub czynisz,
i w Afryce,
Mussolini,
ze swą zgrają
Negus boski,
obcinając
Kościałkowski,
urzędnik, gdy
liczy troski,
autor Bigdy,
Nowakowski,
ciotka, wujo,
gruba, cienki
wyśpiewują
. . . .
me piosenki.

(Hemar)

OGŁASZAJCIE SIĘ



W MIESIĘCZNIKU ILUSTROWANYM

»WYTWORNY STYL«

który jest poświęcony życiu handlowemu, towarzyskiemu i artystycznemu



Ceny ogłoszeń:

Na okładce: 1/1 str. 400 zł. 1/2 str. 200 zł. 1/4 str. 100 zł 1/8 str. 50 zł.
W tekście: 1/1 str. 300 zł. 1/2 str. 150 zł. 1/4 str. 75 zł. 1/8 str. 38 zł. —
Za tekstem: 1/1 str. 200 zł. 1/2 str. 100 zł. 1/4 str. 50 zł. 1/8 str. 26 zł. —
Wielobarwne o 50% drożej.

Wydawca, redaktor naczelny i odpowiedzialny: JANUSZ WOŹNIAK
Adres Redakcji i Administracji: Kraków, Św. Marka 7/9, tel. 136-98. Drukarnia Literacka, Kraków, Plac Zgody 4, tel. 185-18

